

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

IV.

MASŁAW.

Powieść z XI. wieku.

Tom I.

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

~~Nr. 3464~~



KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



Kra
Mas i
8-3

3464



SN 21418



841.162.1-3



M A S & A W.

POWIEŚCI HISTORYCZNE

J. I. Kraszewskiego.

Dotąd wyszły:

I.

Stara Baśń, powieść z IX wieku 3 tomy.

II.

Lubonie, powieść z X wieku 2 tomy.

III.

Bracia Zmartwychwstańcy, powieść z czasów
Chrobrego 3 tomy.

IV.

Masław, powieść z XI wieku, 2 tomy.

Pod prasą:

V.

Boleszczyce, powieść z czasów Bolesława Śmiałego
2 tomy

VI.

Królewscy Synowie, powieść z czasów Bolesława
Krzywoustego.

Cena każdego Tomu R. 1.

Czcigodnemu dziejopisowi naszemu

TEODOROWI MORAWSKIEMU

w dowód najgłębszego szacunku

przesyła

A U T O R.



I.

Smutny był wieczór jesienny; słońce zakryte, którego słowiałe blaski z za chmur gdzieniegdzie przeglądały, już się ku zachodowi kłoniło. Całe niebios sklepienia okrywały szare, podarte, kłębiące się, nad widnokregiem w ciemną, jednostajną zasłonę zbite obłoki.

W powietrzu oczyma było można dojrzyć górą goniący wichur, który kiedy niekiedy tylko z chmur spadał na ziemię — sunął się po niej uginając drzew wierzchołki, obłamując gałęzie i uciekał znów gdzieś w górne szlaki.

Ziemia obleczona żałobą, szara, z zieloności odarta, wydawała się zmarłą, uśpioną, gdy po nad nią pędem leciały z zachodu poszarpane dziwnie, postrzępione, rozplywające się i zlewające obłoki, przybierające barwy różne, jakby je to

gniew rumienił, to złość sinemi czyniła. Tam gdzie czuć było słońce, gorzały żółtawe luny — gdzie na chwilę obnażyło się niebo, jaśniało jakąś barwą zielonawą. Szare chmury wszystkie zdawały się spieszyć na wschód, by tam stanąć jak wojsko do boju, jedną groźną czarną ławą.

Dołem, nie wesoly też krajobraz przedstawiał się oku. Nizka, błotnista dolina leżała wśród lasów, które ją czarnemi obejmowały ścianami. — Gdzieniegdzie na niej stało osamotnione, na pół zeschnięte czy zgorzałe drzewo prastare, z gałęzmi obnażonemi i jakby w rozpaczę podniesionemi do góry.

Resztę liści pożółkłych oberwały z nich wichry jesienne.

Wśród błota wiła się droga, na której świeże ślady wypisały jakieś straszne dzieje wczorajsze, nie starte jeszcze niczém i nie splukane, nieoschnięte i niezarosłe.

Czytać było można z téj drogi, jak z księgi, co się tu wczoraj, dziś może dziać musiało. Przeszła po niej burza straszliwa. Wydeptana była, wygnieciona, wybita, jakby nią mnogi lud i stada przeszły, koła ją poryły, drągi porozrzynały, tu i owdzie leżały drzewa, wozów połamanych szczęty podarte szmaty krwawe, porwane szaty, potargane powrozy. Znać było na niej resztki wielkiego obozowiska, czy olbrzymiej gromad wędrowników.

Na ślizgięj powierzchni, gdzieniegdzie bosych

nóg ślady się wycisnęły, dziecięce obok starych, zwierzęce obok ludzkich, owdzie leżącego ciała znamię, które padło i wlokło się pasami porąc ziemię. Wśród kałuż. błota były i czarne zastyglėj poscki plamy.

Wojny to zdawały się być ślady nielitosne, co po sobie śmierć i spustoszenie zostawiły.

Na stratowanym gościńcu szczątkami życia karmiło się pfastwo, dziubiąc rozsypane ziarna, pijąc może krew rozlaną

W dali na pagórku widać było mury ogorzale, niżej sterczące w dolinie belki czarne, powywracane budowy, szczątki jakiejś ludzkiej osady, w której nie było człowieka. Po nad tą pustynią głuche panowało milczenie, z wiatrem tylko kiedy niekiedy jakby żałośliwe dolatywało psów wycie. Stado kruków i kawek zwijało się w powietrzu, to przypadając ku ziemi, to podnosząc się z wrzaskiem i krążąc nad opustoszoną doliną. Ptacy obejmowali tu panowanie, a zwierz z lasów poglądał, rychło mógł przyjść za nimi, po człowieku zagarnąć dziedzictwo. Nad błotem latały z krzykiem boleśnym strwożone czajki. Jedno życie się tu skończyło, zaczynać miało drugie.

Wpatrzywszy się w miejsce, gdzie osadę zniszczoną znaczyły mury rozbite, jeszcze po nad nią dostrzedz było można nieznaczone prawie pasemka dymu unoszącego się z pogorzeliska. Na-próżno usiłując się wzbić do góry, podniósłszy

się nieco, opadały ciężko i rozścielały się po ziemi. W powietrzu czuć było zgorzelizną trupią.

Na ścieżynie wiodącej do najbliższego cypła lasu, ukazał się jeździec na koniu. Wysunął się zwolna z za gałęzi, stał i patrzył długo — rozsluchiwał bacznie, nim się dalej posunąć ośmielił.

Oko jego rozglądało się po okolicy, wśród której żywej nie widać było duszy, głosu ni cienia człowieka. Jeździec ów, z ciemną brodą portarganą, lat średnich mężczyzna, był, jakby świeżo wyrwał się z boju, i ocalał z walki — potłuczony cały i krwawy. Pancierz miał poszarpany od ciosów co go ugodziły i na kawały na nim porozcinały. Szmaty jego wisiały zeń, obnażając gdzieś niedzie pokaleczone ciało krwawe. Reszta pogiętego helmu ledwie się trzymała na głowie bujnym ciemnym włosem okrytą, strzaskanego miecza główńia wisiała mu u pasa; w ręku miał kawał włóczni złamaną, w kilku miejscach zbroja i z pod niej przezierająca odzież jak rdzą brunatną, zaschlą krwią była zboczona.

Koń pod nim posieczon i poraniony był także, szedł nakuliwając z głową zwieszoną, a gdy mógł stanąć, wnet łeb spuszczał szukając pod nogami wyschlą trawy, w kałużach wody. Pomimo tej nędzy dzisiejszej, na wojaku i jego wierzchowcu, znać było dawne lepsze czasy. Twarz biednego, wybladłego zbiega, rysy miała szlachetne i dumne, oko zamglone było smutkiem nie niewieścim, lecz

mężną rycerską niedolą. Poszarpane suknie i zbroje nigdy były kosztowne i piękne.

Westchnąwszy, gdy z konia obejrzał okolice, zsiadł z niego wędrowiec, poklepał biedne zwierzę po szyi, uzdę wziął w rękę i podpierając się dzidą, powolnym krokiem iść zaczął ku pogorzeli-
lisku. Ranny w nogę, z posieczoną piersią, rozbitą głową, wlec się musiał powoli i często odpoczywać. Zdało się czasami, że zachwiawszy się padnie, że mu ochota odejdzie dalej się tak ciągnąć, aby nędzny żywot ocalić, stawał, opierał się na koniu, dyszał i znowu tak włókł ku pogorzeli-
lisku. Konie też kulejąc i napadając szedł posłuszny, a raczej dawał mu się ciągnąć, skubiąc z głodu resztki traw, gdy je znajdował po drodze.

Tak ścieżką tą od lasów, znaną mu pewnie, zbliżał się wojak ów ku kopcowi naprzód, grodzisku otoczonemu wałami, na którym spalonego zameczyska widać było zeczerniałe ściany.

Spustoszenie straszliwe jakieś, nieludzkie przeszło tędy niedawno jeszcze, niezostawiwszy po sobie nic, nad kupę węgla i gruzu. Na okopach popalane, połamane, sterczały gdzieś ostrokoły, brama strzaskana, na pół zgorzała leżała w błoto wciśnięta na ziemi.

Krokiem powolnym, przybysz wsunął się w środek okopów. Miejsce to musiało mu być do-

brze znane, szukał po niēm oczyma w gruzach, przeszłości którą pamiętał.

Żadna budowa nie ostała się całą na grodzisku, gdziekolwiek kamiennych murów grubych sterczały ściany na pół poobalane, oparłszy się zniszczeniu. Obok ziemia nawet była poryta, jakby w nięj czegoś szukano. Rozbitych naczyń skorupy rozsypanych bodni klepki, koły, belki, wyleżana słoma starta i pomięta, poogryzane kości białe, plac prawie cały zalegały. Na boku leżały ściierwa koni, których żebra już na pół obnażyły kruki.

Spłoszone podniosły się wrzeszcząc i wnet obiadły znowu swą pastwę.

Wszedłszy do środka wzrokiem ponurym przejrzał do koła wszystko człek nieznany, konia postawił u wnijscia, a sam krokiem powolnym począł przez łomy zalegające grodzisko wdzierać się w głąb jego. Szukał miejsce jakichś, śladów, jakby z nich odgadnąć chciał dzieje tego zniszczenia... Lecz gruzy je przysypały, zwałiska zatarły. Spodziewał się może znaleźć trupy, a tych tu widać nie było.

Kilka razy rozpatrując się schylił ku ziemi, sięgnął ręką po łachman jakiś, dobył opalony szmat z pod drzewa i rzucił go z odrazą i gniewem. Minawszy kupę rumowisk, szedł pod mur dalej, ale i tu toż samo znalazł bezładne zniszczenie.

U muru tylko, jakby osypana i zapadła ziemia,

czarną obnażyła pieczarę, w której głębiach nie widać nie było. Z ciemności gdzieniegdzie sterczały połamanych belek końce. Zajrzał tu przybysz, ręką się osłoniwszy, zginając z trudnością, patrzył długo i wstał namarszczony...

Właśnie miał to cmentarzysko opuścić, gdy podrażniony słuch jego, wśród tej ciszy głuchój, pochwycił jakby szmer jakiś, niby ostrożnego chodu ludzkiego echo.

Strzymał się spoglądając ku wnijsciu.

Tu nie widać nie było, koń tylko pał się chciwie na wałach, znalezioną odrobiną zieleni. Posunął się więc, krocząc znowu przez belki i rumowiska ku miejscu, gdzie były wrota zamkowe, gdy w téjże chwili ukazała się w nich ludzka postać.

Człowiek ten wchodził, wsuwał się raczej ostrożnie, wstrzymał na widok konia i stał wylękły, oczyma wodząc na wszystkie strony:

Z daleka postrzegłszy z ruin wychodzącego zbrojnego mężczyznę naprzeciw sobie, w pierwszej chwili rzucił się był do ucieczki — lecz za drugim ku niemu spojrzeniem w ręce plasnawszy, zatrzymał się i, kroków parę podbiegłszy, padł przed nim na kolana.

To niespodziane wśród ruin zjawisko — było jakby do nich podobne — podstarzały już mężczyzna, z głową odkrytą, włosami rozrzucenemi, nie miał na sobie nic, oprócz na ciało nagie na-

rzucanej zdartej, połatanej siermięgi. Nogi jego okrywały spodnie z płótna grubego, poobwiązywane sznurami u dołu, które skórnie podarte utrzymywały. Twarz wynędzniała, żółta, z oczyma blademi, miejscami włosem porośla, podobniejszym go czyniła do trupa wstającego z grobu, niż do żywego stworzenia. Padłszy na kolana, załamane ręce podniósł do góry.

— Wy żywi! — krzyknął.

Wojak nie odpowiadając nic, ręką wskazał na wiszącą kawałami porozdzieranemi zbroję, na poszarpane i poranione ciało.

— Żywem! — rzekł głosem bez dźwięku — żywem, ale po co żywot, gdy wszyscy moi poginęli, gdy nam tylko grób został!..

I powiódł oczyma dokoła.

Kłęczący wstawał powoli i mówił ochryply, drżący.

— Ja czwarty dzień tułam się po lesie, trawę gryzłem, liście ssalem, grzyby suche jadłem i korę, ledwie dusza w ciele.

— Dziękuj Bogu i za to — zamruczał uzbrojony — ja też nie wiem czy żyję — nie wiem jak żyję... a na co dziś życie się zdało.

W milczeniu ten, który powstał z ziemi, przysunął się i w rękę pocałował mówiącego. Stali oba nie mogąc znaleźć słowa.

— Jakżeście ocalili? — spytał po tém cicho.

— Chcieliśmy się tam, za Szrodą opierać garści Czechów. Kupka nas była niewielka ale mężna. Padli wszyscy i mnie za zabitego rzucono na pobojuwisku, dopiero noc mnie ocuciła. Koń uszedł, a potem sam wrócił gdzieś leżał... jego oddech poczułem nad sobą, gdym oczy otworzył. Tułałem się i ja po lasach, oprócz wody nie nie mając, tu zdechnąć przyjdzie! To zdychać!

Zamilkł opuściwszy głowę.

— Gdzie ludzie? trupów niema? Gdzie Gdeczanie wasi? — spytał po chwili.

— Gdy Czechy nadciągały, jam był w lesie — począł drugi — wróciłem, aby patrzeć na pogorzelsko, nie było już wracać po co. Wszystką ludność, choć o mir i łaskę prosiła poprowadzili, pognali ze sobą wszystkich, nie został nikt, prócz tych co padli. Miasto złupione, domy złupione.

Popatrzał ku dolinie i jęknął boleśnie.

— A wasi? wasi? miłościwy panie! — zapytał cicho.

— Nie mam ja już nikogo, nikogo — odpart pierwszy ponuro.

To mówiąc, wziął konia za uzdę i zwolna z grodziska schodzić zaczął. Za nim włókł się człek w odartej siermiędze.

U stóp zamku jednem zgliszczem szerokiém leżała wielka osada.

Na czarnem pogorzelsku stały gdzieniegdzie żurawie studzien, resztki ścian, których ogień nie

dojadł, słupy od bram, koły od płotów, wysokie kozły szop zwalonych.

W pośrodku murowanego kościołka, z głazów wzniesione boki sterczały tylko — dach spalony runął. Zbliżyli się ku niemu — stanęli.

W głębi widać było ołtarza resztkę ogorzałą i poobalane wielkie świeczniki drewniane. Wnijsie do grobów pod kościołem stało w pośrodku rozdarte. I tam znać łupów szukano. Nie ocalało nic. Na jednej ścianie wisiał tylko krucyfiks czarny, a na nim w pół spalony Chrystus, jedną ręką trzymał się jeszcze. Płastwo, które się tu już na sen nocny tuliło, słysząc szelest, zerwało się, pierzchnęło, poczęło kołować z wrzaskiem i padać na ścian wierzchy.

Ostatnie promienie słońca przedarłszy się przez chmury, światłem pomarańczowém, jakby luną pożarną nagle oblały ten obraz spustoszenia.

Z trwogą przybyli rozglądali się dokoła. Ślady życia jeszcze gdzieniegdzie były widoczne. Pod ścianami chat walał się statek gospodarski, rozbite wiadra, rzucone kądziele, zapomniane dzieci kolebki, kamienie od żarn wywróconych.

Wojak i zbiedzony człek w siermiędze postawszy przed kościołem, wyszli dalej ku spalonej osadzie.

Nadchodziła noc, trzeba było szukać schronienia.

— Miłościwy panie, władko Lasoto — jęczącym głosem ozwał się siermiężny idący za nim —

gdyby chleba choć okruszyna, możebym sił na-
brał i szalas gdzie sklecił.

Na koniu, którego wiódł za sobą Lasota, wi-
siały próżne sakwy. Zwrócił się ku nim wojak
i dobył z nich szczątek czegoś spleśniałego, czar-
nego, rozłamał i dał proszącemu.

Z chciwością niezmierną oburącz porwał zgło-
dniały ten pokarm, zaiskrzyły mu się doń oczy,
począł gryźć ze zwierzęcém łakomstwem, zapo-
mniawszy o wszystkim.

Lasota szedł dalej, niepatrząc nań, szukając
znużonemi oczyma przytulku, ale chaty drewniane,
chałupy z plotów i chrustu, kłecie, ogień pozja-
dał do szczętu, nie ocalało z nich nic nad węgły gro-
żące upadkiem, ledwie od wiatru mogące osłonić.

Nierychło dopiero, chleb spożywszy do pru-
szyny, siermiężny pogonił za błędzącym po pogo-
rzelisku Lasotą. Po drodze zaglądał do studzien,
chcąc wodą ugasić pragnienie, nie było jój czém
zaczepnąć.

Lasota znalazł wreszcie w głębi gdzieś resztę
dachu zwieszoną nad nędznemi ścianami dwoma.
Tu, konia w blizki ogród puściwszy, sam zwałił
się na ziemię — szedł jakby już tylko miejsca
szukał gdzieby skonał, w obu dłoniach twarz za-
nurzył, oczy zasłonił i pozostał nieruchomy.

Tymczasem zeschły chléb, kropla wody, od-
żywiły nieco wygłodzonego, który trochę sił i przy-
tomności odzyskał.



Był to jeden z osadników, tego zburzonego a niedawno jeszcze znacznego i do głównych dzielnic królewskich należącego grodu, Gdecza, który najezdzy Czechy złupili, ludność z niego całą wprowadziwszy.

Człek ten zwał się Dębiec.

Lasota miał posiadłości rozległe pod Szrodą, często w mieście i na zamku przebywał. Dębiec kołodziej wysługiwał mu się we dworze, znali się zdawna. Możnego władkę i biednego rzemieślnika, wojna i nędza zrównały teraz. Lasotów gródek był spustoszony, on sam nie miał gdzie przytulić głowy, Dębowi zostało tylko pogorzelsko jego chaty.

Ku niej się skierował, przedzierając przez poobalane domostwa, spodziewając się może znaleźć coś ocalonego. Doszedłszy do miejsca, które trudno poznać było, stanął wryty. Nie było nic oprócz wielkiej węgla kupy.

Mrok padał. Przemógłszy się Dębiec otarł oczy i wszedł na swe zgliszcza, poczynając się w nich rozglądać. Kijem podniesionym z ziemi, zwolna rozgarniał popioły i żuźle — szukał czegoś. Pod chatą był w ziemi wilgotnej wygrzebany loszek, w którym coś czasem składano.

Pomyślał czy w niém co nie ocalało. Co? sam nie wiedział. Garść mąki może, suszonego mięsa resztką, krup trochę, choćby spleśniałego chleba okrawek. Grzebiąc się, natrafił w istocie na nie-

zgorzałe drzwi loszku, ukląkł i rękami je oczyściwszy z ziemi, począł z wielkiem wysileniem odwalać. Osłabłemu szło ciężko, dyszał, kładł się na ziemi i wstawał, aż kołkiem podważywszy, podnieść mu się drzwi udało. Kryjówka zdawała się nietknięta, nikt tam w ubogiej chacie łupu się nie spodziewał.

Głodny Dębiec spuściwszy się, z okrzykiem radości, postrzegł tu spiżarnię swą ubogą, nienaruszoną.

Z niespokojnym pośpiechem począł w niej gospodarzyć, wyrzucając coraz coś wynalezionego, co dawniej pogardzone było, a dziś droższe nad złoto. Wkrótce jednak napowrót się wydobył z jamy, zabrał żywność lichą, i pospieszył szukać z nią tego, co go przed chwilą kawałkiem chleba obdarzył. Znalazł go pod ścianą, na pół uszpiętego ze znużenia, wpół zamarłego z głodu.

Noc coraz ciemniejsza zapadała.

— Panie miłościwy — odezwał się Dębiec przypadając — mam strawę! Znalazłem ją w jamie mojej. Widać ją tam ukryć cheieli. Rozpalę ognia trochę... jeść — jeść będziemy! jeść!

Powtarzał ten wyraz, jakby w nim była wybawienia nadzieja. Lasota zwolna podniósł głowę.

— Ogień rozpalic! — mruknął — ogień! aby ściągnąć nim licho! ani mi się waź.

— Nikogo tu już ogień nie ściągnie — westchnął Dębiec — patrzajże, panie miły i tak

gdzieniegdzie węgle się jeszcze żarzą, dym czerwony się kurzy! Zbójce bezbożni, Czechy, odciągnęły, pusto do koła, życie ratować trzeba. Głodem zemrzemy.

Lasota znowu twarz w dłonie zanurzywszy, nie nie odpowiedział. Pragnienie więcej niż głód go paliło, a było zarazem głodem i gorączką.

Niezważając na zakaz, kołodziej począł ogień przysposabiać. O głównie niedogorzale na zgliszczach łatwo było. Z chaty swój wyniósł garnek jakiś, który znalazł w lochu rzucony. Miał już począć gotować, gdy Lasota wody zawołał.

Tym więc czerepem, jedynym jaki mieli i wicią znaną na pogorzelsku, pobiegł Dębice zaczerpnąć u studni. Gdy wodę przyniósł Lasocie, pochwyciwszy garnek w dłonie drżące, stary wypił go do kropli.

Kołodziej poszedł zaczerpnąć znowu i zabierał się do uwarzenia wiecerzy, gdy wieher zadał i przyniósł z sobą wyraźny tentent koni.

Porwał się, choć osłabły Lasota, wołając o zgaszenie ogniska, i natychmiast zalano je co prędzej.

Gęsty mrok był, który pochmurne niebo zwiększało. Tylko w miejscu gdzie zaszło słońce jarzyły się jeszcze niebiosa i ku nim patrząc, postrzegli tu skryci zbiegowie, na gościńcu który przez środek osady prowadził — cienie dwu konnych ludzi jadących powoli.

Jak czarne dwa widma malowali się im na zorzy zachodniej, i choć zdala, dobrze ich rozpoznać było można.

Lasota i Dębiec z ciekawością i niepokojem im się przypatrywali.

Niepotrzebował długiego czasu Lasota, aby w nich poznać, domyśleć się raczej, takich jak on sam był, zbiegów, tułających się, uchodzących nocą przed czeskimi mordami i lupieżą.

Ludzie byli orężni, bo nad głowami ich sterczały dzidy, które w rękach trzymali, a konie pod nimi były rosłe. Na głowach wiewały hełmów czuby. Lecz możnaż było zaręczyć, że to nie Czesi jeszcze, wśród tego spustoszenia, krążyli za jakąś zdobyczą?

Stanęli jezdni naprzeciw spalonego kościoła... Wiatr silniejszy ustał był nieco — i słyhać było rozmawiających z sobą. Lasota bacznie ucha nadstawiał, dochodziły go wyrazy urywane.

— Psie syny.

— Zwierzęta dzikie! Szatańskie plemię.

Po tych przekleństwach, swoich było się można domyśleć. Lasota złożył dłonie w trąbę i choć osłabłym głosem, huknął ku nim.

Na ten odgłos, konni zrazu rzucili się do ucieczki, potem wnet stanęli, rozglądając do koła.

— Swoi! zawołał Lasota — bywajcie tu! bywaj! bywaj!

Dębiec, który wprzód jeszcze poznał w nich swoich, wstał z ziemi i pospieszył na spotkanie. W gromadzie zawsze bezpieczniej wszystkim było.

Na widok z mroku wychodzącej mary tój, jezdni stanęli w gotowości do obrony lub ucieczki, ale kołodziej zbliżywszy się, poznał sąsiadów, i począł wołać po nazwiskach.

Byli to dwaj bracia Doliwowie, ziemianie od Szrody, o miedzę od Lasoty osiedli.

Wszebór i Mszczuj Doliwowie, równie błakaniem się o głodzie znużeni byli od dni kilku, dworce ich z ogniem poszły. Z koni posiadawszy zwrócili się ku miejscu przez Dębca im wskazanemu.

Kołodziej szedł uradowany przodem, wołając:

— To nasi z Doliwian, miłościwy panie. Wszebór i Mszczuj.

Dźwignął się nieco na łokciu spierając Lasota. Znów ognia niecie śpieszył kołodziej.

Nie było powitania, bo czemże się pozdrawiać mieli? chyba ocalonym żywotem nędznym, z którym nie wiedzieli co począć. Patrzali na się tylko smutnemi oczyma.

Gdy ogień błysnął żywiej, starszy z Doliwów, widząc zbroję podartą i krwawe znamiona, a twarz Lasoty wynędzniałą, nie mógł się wstrzymać od przekleństwa na wrogów.

— Ot, na co nam zeszło! — krzyknął — ot, co się z naszą ziemią stało!

Przeklęty dzień i godzina, gdy nam Mieszko i Ryksa zapanowali!

Dębice im konie poodbierał, puszczał je spętane w blizkie ogrody, gdzie się, choć nędznie, pożywić mogły. Posiadali na ziemi. Z kolei narzekanie ze wszystkich się ust wrywało.

— Z Poznania — począł Mszczuj — jeno gruzy też stoją. Czego niemka Ryksa niewiozła, to Czesi zabrali! Poszła ona precz do swoich, do Niemców — za nią i syn Kaźmierz uchodzić musiał. Pana nie mamy, otworem stoją rubieże, kraj bezpański, lupi kto chce. Złupili też Czesi Gniezno, obdarli kościół, wywieźli skarby drogic, pogнали w łykach braci naszych jak bydło. Popalone siola — gdzie spojrzeć pustynia!

— Zezezło marnie Bolesławowe królestwo — dodał Wszebór — rycerstwo nasze przepadło, wojuje kto chce, bośmy bezpańscy. Głowy niema.

— Tylko umierać nam, aby już oczy nie widziały końca — dołożył Lasota.

— Czechy, czechami, niemcy, niemcami — rzekł Mszczuj — własny lud burzy kościoły, pogaństwo wraca, życie nasze na włosku. Kupy się włóczą i wołają stare — Łado! a którego z wadyków napadną na krzyż go przybijają z urągowskiem.

— Co poczynać? umierać? — mruknął Lasota...

W tém Mszczuj głową potrząsł.

— Kto ma siły za Wisłę ciągnie do Masława, tam, mówią, pokój jeszcze, on jeden siłę ma. Co czynić? do siły się garnąć chyba, a nie, to życie potracim, mówił Wszebór. My też, sami nie wiemy, chyba by się do niego przekradać, aby żywot ocalić.

— Do Masława? — przerwał słabym głosem Lasota. — Co ci się śni? Człek ten niepoczeiwy, przechera, wszystkich naszych nieszczęść przyczyną.

Mszczuj ramionami dźwignął.

— Prawda to! ano dziś będzie dobry kto bądź, byle życie zbawil.

— Lepiej umierać! — mruknął stary.

Gwarzyli tak urywanemi wyrazy, gdy Dębice przerwał rozmowę, pytając czy nie byli głodni.

— A któż dziś nie głodny! — zawołał Mszczuj.

— Co mam, tém się podzielę — rzekł kołodziej. Nie wiele tego jest — byle duszę w ciele utrzymać.

Począł tedy mięso wędzone i krupy uwarzone na skorupkach, które w gruzach poznajdywał, rozkładać przed niemi. Lichy to był posiłek, ale się zdał głodnym najsmaczniejszą w świecie potrawą. Dziękowali mu niezmiernemi wdzięczności wyrazy.

— Niech ci Bóg , aci! — wołali.

— Zapłaćcie wy mnie sami — odparł Dębice — siedzieć tu nie będziecie, powleczenie się gdzie-

kolwiek bądź, pozwólcie mi z sobą, bo tu zginę. Jutro do dnia pewnie ruszycie w lasy, dajcież mi się wlec za wami. Wezmę co mam żywności, podzielimy się.

— Któż z nas wie, co pocznie jutro? — zawołał Lasota.

— W lasy trzeba i za Wisłę — dodał Mszczuj — inną dla nas rady niema. Masław przyjmuje wszystkich.

— Ani mówcie o tém — a sromajcie się myśli — przerwał stary Lasota.

Masław? a któż tego chłopiego syna nie znał na Mieszkowym dworze? Niewiedzieć z kąd i jak, od chlewów się dobył ten parszywiec, liżąc nogi, pochlebstwem dobił do podczaszowstwa. Mieszko-wi potém życie skrócił, królową panię wygnał z mowami swemi, Kaźmierza pana swego wypędził. To jego sprawy.

— Pewnie tak — odrzekł Mszczuj — ja go tóż ni kocham, ni bronię, psubrat jest, a no kto dziś panem? przy kim siła? albo trzeba gardło dać lub iść mu służyć!

— A! tak — wtrącił się zdala Dębiec — służyć już komu bądź, niech choć rudy pies panuje, byleśmy bezpańskimi nie byli.

Umilkli wszyscy pospuszczawszy głowy, Lasota orzeźwiawszy nieco, podniósł się sycząc, aby ciało pobite, rany i odzież potarganą opatrzyć.— Znać w nim było męża, który nie jedno już prze-

bolawszy w życiu, cierpieć się nauczył, chłodno, śmiało, prawie nie jęknawszy, począł się rozdziewać z przywrzałej do poranionego ciała zbroi i kaftana. Krew, która była przyschła, puściła się znowu z ran, więc bieliznę drąc, zakładał nią posieczone i pokłute ciało, a drudzy nań z podziwem patrzali. Był to znak przecie, że do życia chciał powrócić i o jakimś myślał ratunku. Czekali wszyscy mileząc, aż stary dokończy, bo się im trzeba było naradzić wspólnie, co dalej czynić mieli, gdzie się schronić, dokąd uchodzić.

Nie było naówczas w kraju kąta prawie, któregoby najazdy czechów, pomorców, prusaków nie spustoszyły, lub sam lud, do pogaństwa wracający nie zakrwawił i nie zniszczył.

Moźniejszym szczególnie, którzy byli wszyscy za Mieszka pierwszego i Bolesława chrześcijaństwo przyjęli, duchowieństwu wszelkiemu, rycerstwu, największe groziło niebezpieczeństwo. Nie ostał się jeden kościół, żaden klasztor całym przed napacją, żaden cmentarz nie splugawionym. Legli od zbójceckich rąk kapłani niemal wszyscy a wielkie dzieło nawrócenia z pomocą chrześcijańskich narodów dokonane, obalone zostało.

Na rękę to było po części Niemcom, odzyskującym przez to prawo nawracania mieczem, zwojowywania i pochwylenia znowu zwierzchnictwa nad kościołem odbudowanym.

Ruś też i Węgry korzystały z uroszczeń Bez-

pryma, z pogodnej chwili, aby kraje zawojowane przez Bolesława oderwać od Polski. Czeski Brzeclaw myślał już o zagarnięciu całego państwa i połączeniu go z koroną swoją. Począł to wielkie dzieło od złupienia Krakowa, Gniezna, Poznania i uczynienia pustki z ziem, nad którymi chciał panować.

Gdy rany swe obwiązawszy Lasota, leżał znowu na ziemi, a Dębiec siadł na uboczu, oba Doliwowie, spojrzawszy na siebie, pierwszą wznowili rozmowę.

— Cóż myślicie? — ozwał się Mszczuj — co czynić mamy? mówcie! starszego posłuchamy radzi.

Lasota podniósł głowę, jakby się chciał przekonać, że mowa do niego była zwróconą.

— Pytacie mnie — rzekł. — Wiem że ja sam co czynić? Wiem, jeno czego nie uczynię. Za Wisłę do Masława nie pójdę, srom to i hańba, parobczakowi się kłaniać, gdy się namaszczone królom służyło. Myśmy wszyscy stali przy panach naszych, stali przy Mieszkowej wdowie, potem przy Kaźmirzu, mamyż iść do tego co nam ich odebrał? A gdybyśmy i poszli doń, chyba ażeby mu zanieść głowy nasze, bo żywić nas nie będzie.

Zamilkli Doliwowie.

— Nie wiem, czy znacie Masława, jak ja go znam — dodał Lasota. — Patrzałem ja nań, jak rósł na dworze z pacholęcia przy psiarni, potem

ręczniki i dzbanki nosił, sokoły chuśtał, miód nalewał, a do ucha i lask się wkładał powoli i tak do łańcucha na szyi, do pasa rycerskiego doszedł, na powiernika i radzcę. Dopiero go duma zdęła niepoczeiwa.

Po śmierci Mieszka, królową chciał zawładnąć, bodaj się z nią żenić i królować, a Kaźmirza się pozbyć. Rozumna pani odepehnęła go, otaczając się swojemi ku obronie. Zaczęli na nią krzyczeć, że kraju i nas znać nie chce, a prześladowali ją tak, że skarby wielkie zabrawszy, uchodzić do swoich nad Ren musiała. Został Kaźmirz, nad którym Masław chciał rozciągnąć opiekę, aby go zgubił, musiał i ten uciekać od niego. Pozbył się go prędko. Myśmy bezpańsey jako stado bez pasterza zostali, a wilk się nam stręczy miasto niego. Kraj obey ludzie lupią i drą.

Czyjeż to sprawy jeśli nie jego!

Myśmy się precz od zdrajcy ustąpili, uczynił się poganinem aby sobie czerń pozyskał. Pogan też, ile ich jest, prusaków i pomorców ma z sobą. Cóż my tam przy nim i z nim, ludzie chrzesci i Chrystusa wyznajacy czynić będziemy? Ciała nie ocalemy a dusze potracim!

Mówił tak, a Doliwowie milezeli.

— Alboż to prawda, co głoszą — rzekł powoli Mszczuj — że się poganinem uczynił? Chyba na oko, nie wierzę by nim był.

W tém Dębiec, który zdala siedząc przyslu-
chiwał się — zawołał.

— O! miłościwy panie! To jawna rzecz, że
z pogany trzyma. Stare Stanice pochowane, z ziemi
i lasów dobyto, postawiono znów kamienie i słupy,
jak dawniej bywało. Wszystkie dawne świątki
obchodzą o białym dniu. Księża żadnego nie
żywią, a którego gdzie dopadli stracono. Masław
mówi, że z księżmi przyszła niewola.

— Zły Masław — przerwał Wszebór — a gdzież
i jak się schronić i ratować! W Czechach też pęta
i łyka każdego czekają, na Ruś daleko, a i tam
kto wie, jaka byłaby gościna? Błądzić po lasach
i z głodu mrzeć, toć lepiej się od razu obwiesić
na gałęzi.

Dogasał ogień przy którym siedzieli, Dębiec
kilka głowni zebrawszy, dorzucił i znowu go od-
żywił.

— Co czynić? co czynić! powtarzali siroskani.

— Masława ja znam ze dworu dobrze — ode-
zwał się Mszczuj po przestanku — zrazu my się
drużyli. Człek śmiały do wściekłości, zuchwały
do szaleństwa, a roi mu się we łbie panowanie,
bo mu za młodu wróżka jakaś przepowiadała, że
dojdzie wysoko. I to pewna, że żadnego by z nas
nie oszczędził, byle mu się to na co zdało, a co
mu z tego przyjdzie, gdy nas pogubi?

Mówili jeszcze, gdy szelest się słyszeć dał
w ciemnościach. Nie widać nie było o trzy kroki

przestraszeni ruszyli się wszyscy, oprócz Lasoty, nasłuchując bacznie czy się konie, puszczone na paszę nie ruszyły, zwierza ulakłszy i trwogi téj nie nabawiły.

W tém płomień, które się podniosło oświecając szerzej pogorzelnisko, ukazało za węglem stojącą postać ludzką.

Człowiek stary, ręką wychudłą opierał się o kawał ściany, a dość nań było wejrzeć, aby się pozbyć obawy i poznać w nim nieszczęśliwą ofiarę, co się gdzieś z gruzów tych, głos ludzki zasłyszawszy, dobyła.

Mężczyzna był w podeszłym wieku, wyędziałały, twarzy bladéj, w podartym i powalonym przyodziewku czarnym, z głową nisko postrzyżoną, na długiej, chudéj, kościstej szyi sterczącą. Wiek już go był przygarbił, a wycieńczenie ledwie mu się na nogach utrzymać dozwalało. Zeschłe wargi otwarte miał, oczy osłupiałe, resztką życia już w nim tylko tlała.

Spoglądał po siedzących, jakby znajomych między niemi szukając twarzy, a z piersi znać trudno mu było dobyć głosu. W tém porwał się z ziemi Mszczuj i podbiegł ku niemu, wołając.

— Wyż to jesteście? ojcie Janie? wy?

Starzec głową potrząsnął, spragnionemu, wygłodzonemu mówić było trudno, a zbliżyć się też nie mógł i ściany trzymał, by nie paść, drżąc cały.

Doliwa podbiegłszy, rękę mu podał i przywiódł ku ogniewi.

Znany to był wszystkim proboszcz miejscowy. Trzy dni już w grobach pod kościółkiem schroniony, uszedłszy oka łupieżców, żył okruszynami chleba i kroplami wody, co po murach ściekała. Zasłyszawszy ludzkie głosy, poznawszy swoich, wydobył się sił ostatkiem z zakątka, w którym się na śmierć gotował.

Z całego mienia, jedno najdroższe ocalił — książkę, którą w rękach trzymał i do piersi ją przyciskał.

Dębiec pospieszył też na ratunek staremu. — Posadzono go przy ognisku — kołodziej przyniósł mu wody, Lasota oddał swój chleb zecerstwiały. Ze łzami w oczach ojciec Jan, opatrności i im dziękował, ale długo, prócz urywanych wyrazów, nic z niego dobyć nie było można. Głos stracił z przerażenia i boleści, nie nad sobą płacząc, ale nad losem kościoła i owieczek.

Po długim spoczynku, gdy go woda i strawa do życia przywróciła, począł, jakby w gorączce mówić, coraz silniejszym głosem.

— Patrzałem na upadek nasz — mówił — a gdybym wiek żył, z oczów mi nie zejdzie widok ten straszny.

Spadli jako burza na nas łupieżcy — za grzechy nasze. Miasto się bronić nie mogło, z okolicy tłumy się zbiegły na gród, rąk było nadto, oręża

mało a strachu więcej nad wszystko. Oprócz wojewody naszego i Żupana, przyciągnęli ludzie ze Szrody, zbiegli się z grodków okolicznych... Było więcej niż się pomieścić mogło, dusili się w okopach.

Jam przy kościele został — niegodziło mi się go opuszczać.

Włożyłem komżę, stulę i kapę, wziąłem krzyż w ręce, chrześciance przecie byli choć wrogami.

Bronić się nie myślał nikt — opierać się nie mogliśmy, wysłano starszyznę Prokopa z różczką złotą przeciw nim, z poddaństwem i pokorą.

Nie pomogło czołem bicie. Lud wszystek popędzili w niewolę, miasto zniszczono i złupiono. Sądny był dzień gniewu pańskiego. Mnie na progu kościoła za włosy porwała dziec, rzuciła na ziemię, tratując nogami. Bóg chciał, by ta kupa, skarbów szukając, padła do zakrystyi i skarbeca, a jam się miał czas schronić do grobów i skryć między płyty kamienne, które tam stoją.

Przyszli i tam zbóje — chodzili koło mnie, ocierali się niemal, czekałem tylko chwili, gdy mnie porwą i na śmierć pociągną — Bóg ich zaślepił. Poobalawszy trumny, powywlekawszy trupy, wyszli zostawując mnie. Słyszałem nad głową moją płonący kościół — jak padały belki, jak runął dach, którego krokwie spalone na pół, przez otwarte drzwi grobowe, aż do nóg moich się staczały.

Jak ocalałem, na co Bóg chciał mi życie przedłużyć! albo wiem? — dodał starzec. — Rzekł i pomyślawszy chwilę ciągnął dalej.

— Jeśli na co mi życie było dozwolone, chyba abym wysłuchał narzekania wasze i przyniósł pociechę. Z nad mogiły, nad którą stoję, widzą moje oczy jasno. Nie trwóźcie się, że upadły krzyże i wróciło pogaństwo, ani myślcie Masławowi bić pokłony. Przejdzie dopust Boży jako wichher i burza, połamawszy gałęzie, a pni nie obali... i zazielenią się z wiosną. Ale wam nie płakać i narzekać, ani ręce łamać trzeba i padać na ziemię, ale się gromadzić i stać murem a bronić. Niewiasty płaczą, mężowie walczą, Bóg dzielnym pomoże, gdy serca podniosą ku niemu!

Czyż wszystko nasze wyginęło rycerstwo, co z Bolesławem szerokie ziemię podbijało? Czy już tylko czerń została, której dawniej nie obawiano się tysięcy, gdy jedno serce za tysiąc stało?

Rozbici jesteście, a skoro się zbijecie znowu, krzyż w ręce ująwszy, zwyciężycie. I pójdzie czerń po lasach wylęka, a zdrajcy pod miecz i stryczek szyją przyniosą.

Masławowi się kłaniać! — zawołał z zapalem starzec — toć jedno co Boga zaprzecić i chrztu świętego.

Złym Bóg dopuszcza godzinę zwycięstwa, ale im panowania nie daje. Idźcie, zbierajcie się, radźcie, pana szukajcie. Bóg będzie z wami.

Kościół mi żal, lecz oczy moje widzą, jak się podniesie, jak się w nim ozwą hymny i chwala Pana sławić będzie! Nie dajcie sercom słabnąć, ufajcie Bogu! Bóg ocali!

To mówiąc, słabnął starzec, głosu mu nie stawało, chylił się już, drżącą ręką na cztery strony krzyż zakreślił błogosławiąc słuchaczom, którzy głowy sklonili, i zamilkł, chyląc się ku ziemi. Nadbiegł Dębiec, niosąc garść słomy, którą był przysposobił dla siebie i na niej układał znużonego, który ręce na piersi złożył i powieki jak do snu zamknął. Milezeli wszyscy — ogień przygasł, i reszta też do spoczynku siębrała...

Niebo na noc, zwolna się z chmur oczyszczać zaczęło, gdzieniegdzie na niem przez rozdarte obłoki, migwały gwiazdki blade. Wiatr ustawał, cisza coraz rzadziej przerywana szumem w powietrzu, rozkładała się nad doliną, w ciemnościach stojącą. Pasek tylko jeszcze wązki niebios, ostatkami zachodnich brzasków się świecił.

Słowa natchnione starca, serca trochę dodały, myśleli wszyscy co jutro poczynać, a choć się nie radzili, zgadzały się ich myśli.

Swoich szukać trzeba było i do kupy zbijać, nadziei nie tracąc. Trzem jezdny przybywał cie-

żar nowy, osłabły starzec, którego na łup głodnej śmierci lub nieprzyjaciela, porzucić się nie godziło. Lecz młodsi pieszo iść mogli, a Dębiec też mający im towarzyszyć, pospieszać bardzo nie dozwalał i koni siły zmuszały do powolnej jazdy. Rozmyślali o tym, nie śmiejąc się odzywać, siedzieli i drzémali u gasnącego ognia.

Ojciec Jan usnął widać znękany, bo oddechu jego nawet słychać nie było.

Lasota też zdał się niewiele dbać o swój los, i obojętnie patrzeć na to, co go spotkać miało. Tak noc przetrwali całą. Dniało, gdy Doliwowie między sobą radzić zaczęli, w którą się obrócić stronę. Nie mówili już o Masławie, ale ku Wiśle lasami zdążać myśleli, aby się, przebywszy ją, na Mazurach gdzie schronić, bo tam czerń jeszcze nie powstała.

Dniało, gdy jakby cudem, ocalony gdzieś kogut, sam jeden na pogorzelsku, zaśpiewał na zranie oznajmując pustkowiu początek dnia nowego. Głos ten usłyszawszy, ruszyli się wszyscy. Lepsze on czasy i spokojne dwory przypomniiał.

Jedyny teraz mieszkaniec spustoszonej osady, nie czując co go otaczało, dobył z piersi może ostatni raz głosu, posłuszny nałogowi staremu... Głos ten, nawołujący do życia śmierć i popioły, zdał się starsznem urągowskiem a razem upomnieniem. Strwożeni jedni, drudzy odżywieni po-

dnosić się zaczęli, jakby ich czujny ów stróż zawstydził.

— Tak nam też przystało, póki żyjemy się obwoływać! — zawołał Lasota — podnieść się usiłując.

W drogę!!

II.

Po nocy pogodnej i cichiej, ranek wstał chmurny znowu i wiatr, jakby przebudzony, obłoki nieść zaczął jak wczora. Goniły z zachodu, niby za wieczornymi spóźnione — Z razu wybiegły zarumienione i drobne, przodowi wysłańcy, tuż za nimi cała czereda szarych zwijających się w grube wały, poszarpanych na skrajach, i wnet całe niebiosa zaciągnęły się jakby smętną płótna oponą, po której kłębiły się, dymiły coraz nowe chmur gromady. Wiatr też ziemię zamiatać poczynął, i na pogorzelskich obalał gdzieniegdzie chwijające się dylów szczątki; padały na popielisku, a dym i kurzawa podnosiły się od nich i rozwlekały daleko.

Zimny powiew zachodni zmusił ruszać się z ziemi. Pilno trzeba było myśleć o lepszym schronieniu.

W tej gdeckiej, błotnistej, zewsząd odkrytej nizinie, lada napaść była niebezpieczną, ni się schronić tu ni bronić nie było można. Blizko stojące lasy pewniejszym były przytułkiem. Pierwsi powstawali Doliwowie, myśląc o napojeniu koni, Dębice też stał do posługi gotowy, zbierając się ognia rozłożyć trochę, aby ciepłą strawą jaką orzeźwić przynajmniej rannego Lasotę, i skostniałego od zimna staruszka.

Mszczuj chciał odchodząc własną oponczką okryć O. Jana, gdy, schylając się nad nim, postrzegł, że twarz miał trupio bladą, a zlekka do niej dłoń przyłożywszy, uczuł, że kapłan żyć już przestał. Skonać musiał spokojnie w nocy, z modlitwą na ustach, ręce miał jakby do niej złożone i zaciśnięte na książce, którą ocalił z kościoła. Książka ta była jedyną po nim spuścizną.

Mszczuj ani się zadziwił ni uzalił tej śmierci, dla O. Jana była ona dobrodziejstwem, dla podróżnych oswobodzeniem od ciężaru, któremu nie wiedzieli jak podolają. Oba z bratem poszeptawszy gdy się przekonali, że O. Jan nie żył a skostniał był zupełnie — zajęli się naprzód pogrzebem. Dziakiemu zwierzowi a krukowi zwłok na pastwę nie podobna było zostawić, nara-

dziwszy się więc, postanowili złożyć je w kościelnym grobie, z którego wyszedł do nich wczora.

Dębice się ofiarował dopomódz im do tego pobożnego dzieła, ale go odesłali do koni, i sami we dwu, ujawszy zwłoki za głowę i nogi o dnia brzasku, skierowali się milczący ku zwałiskom nie zbyt odległego kościółka.

Tu jakby na przyjęcie zwłok kapłana, stała właśnie otwarta trumna dębowa, z jednego kloca wyrobiona, z której trupa rabusie wywlekli... Do niej więc włożyli pobożnie bracia O. Jana, i wiekiem przysłonili na spoczynek wieczny.

Zasunawszy potem płytą kamienną, która wprzód wnujście do grobów okrywała otwór podziemią — wrócili do spalonej chaty.

Lasota przebudzony dawno, patrzył na to co się działo, lecz popadł był w rodzaj odrętwienia, który wielka rodzi niedola, — ani się cudzej śmierci mógł uzalić, ani by własnej starał uniknąć.

Dębice klęcząc warzył coś w garnku, konie były napojone, a choć pasza na wpół wypalonych ogrodach nie wiele je posilić mogła, rzeświejsze były po spoczynku niż wczora.

Ranek choć chmurny, coraz się jaśniejszym stawał, gdy Doliwowie do drogi już stali w gotowości. Lasota leżał jeszcze na rękach oparty.

— Ojczy, odczwał się Mszczuj do starego nie zdającego się myśleć o podróży — jechać nam trzeba, a i wy z nami też musicie.

Potrząsnął głową Lasota.

— Dajcie mi tu tak spokojnie zemrzeć — rzekł ledwie dosłyszonym głosem. Po co się już męczyć aby nędzne życie ocalić, gdy się ono na nic nie zdało nikomu. Gdybym ręce miał.

— Serce macie! zawołał Mszczuj—my was tu nie zostawimy.

— Księdzu Bóg oczy zamknął, da i mnie tu skończyć, rzekł stary.

— Bóg tego nie chce, gdy wam życie ocalił— dodał drugi.

Nie dopuścili Doliwowie by się starzec dobrowolnie głodem zamorzył, i niemal gwałtem nagłąc, ujawszy go pod ręce z ziemi podnieśli. Dębiec dopomagał, podprowadzono konia, którego rany poprzysychały, wciągnięto go nań, i ruszyli wszyscy z nieszczęśliwego pogorzelska, które już nigdy się do pierwszej swój możności i dawnego życia podnieść nie miało. Raz jeszcze przeciągając przez zwałiska te, napatrzeć się musieli straszne-go obrazu spustoszenia.

Gdecz naówczas był niemal całej polski wizerunkiem w gruzach leżącej i popiołach, bezpańskiej, zniszczonej i pustej. Krajało się serce tym co ją niedawno jeszcze pamiętali żywą, wesela pełną, z tłumami przebiegającymi ulice, z gradami

zasobnemi, z kościoły śpiewem brzmiącemi. Dziś milczała jak wielki ementarz, a krucy się unosili nad nią, szukając niedognitych trupów, i oszalałe tłumy burzyły co jeszcze stało.

W posepném milczeniu przejechawszy około zburzonego gródka, puścili się drogą ku lasom.

Okolica jak zajrzeć pustą była, bo kto się wyrwał z rąk Czechów, skrywał się po lasach i gęstwinach. Bezpieczniejszemi też uczuli się jadący, gdy się wpośród drzew znaleźli. Tu choć dosyć obeznanym z krajem, nie łatwo się teraz pokierować było. Jedyna większa droga, dla uchodzących służyć nie mogła, spotkać się na niej było łatwo z kupami zbrojnemi, albo z oddziałem Czechów, po całym rozsianych kraju. Gromady dziezy rycerstwu nie przepuszczały, a Czesi w niewolę brali. Rzucić się więc musieli w stronę bezdrożami, a Mszczuj, który myśliwym był, zapewniał, iż po korze drzew się kierując, manowcami ku Wiśle doprowadzi. Nie było bowiem innego schronienia jak za Wisłą, choć ów pokój co tam miał panować, pogłoską był tylko i słuchem — nie nie ręczyło za bezpieczeństwo, a czterej zbiegowie, z których jeden był bezbronny, drugi pokaleczony i wycieńczony głodem — obronić się nie mogli napaści nawet małej garstki złych ludzi.

Zapasu żywności też, oprócz tej jaką na plecach w worze niósł Dębice i Doliwowie w sa-

kwach jeszcze mieli po trosze, nie było żadnego, ta na długo starczyć nie mogła. Trzeba się było zdać na opatrzne losy.

W głębi puszczy jesień jeszcze nie była tak widoczną, ocalało tu więcj liścia, trawy i zieleni, wiatr nie dojmował tak ostro. Przebywszy przerzedzony bór od skraju, gdy się w gąszcze dostali, — jechali ostrożnie, nadsluchując niemal ubezpieczeni. Przodem postępował Mszczuj prowadząc, za koniem jego szedł Dębiec, dalej włókl się koniowi cugle puściwszy Lasota, istny trup żywy — a pochód zamykał Wszebór.

Dwa czy trzy razy zwierz im z pod nóg pierzchnął prawie, ale nikt się on nie pokusił, gonić nie było sposobu, rzucić oszczepem zadaleko. W kilka godzin dopiero młode spłoszone sarniátko, udało się Mszczujowi, w chwili gdy przystanęło niewiedząc jeszcze gdzie pierzchnie — przesyć dzidą rzuconą. Pobiegl za niem Dębiec i skaleczone pochwyił. Pożądana to była zdobycz, i gdy stanęli na łączce dla koni, mogli upiec kawał mięsa, którego dawno nie kosztowali.

W głębinie lasów nie się nie zdawało ludzi zwiastować — milczały całe, a choć Mszczuj dla ubezpieczenia się ucho do ziem przykładał, nie posłyszał nic coby obawę jaką wzniecić mogło.

Gdy konie popasłszy na lepszej trawie, którą tu podostatkiem było — napiły się w stru-

mieniu, orzeźwiały, puścili się zaraz w dalszą drogę.

Wiodła ich ona prawie jednostajnie gąszczami borem, zaroślami, w jednym kierunku. Jak ich Mszczuj zapewniał, który już dnie i czas, gdy się nad Wisłę dostać mieli obliczał. Nie przeciwiał mu się nikt bo lepiej znał kraj, a swego pewnym się zdawał. Lasota milczał obojętny, dawał się prowadzić, nie pytając, bo nie patrząc prawie. Czynił co mu wskazano, sam już jakby woli pozbywszy, nawet karmić się i poić dając — i nie upominając o nic. Pamiętali o nim towarzysze podróży, nie dziwiąc się temu bo wiedzieli że rodzinę utracił, a w nim samym życia było niewiele.

Miało się już tego dnia ku wieczorowi, gdy, jadąc tak powoli, Mszczuj, który oczyma naprzód sięgał daleko, aby nie wpaść w jakie niebezpieczeństwo, ręką dał znać jadącym za sobą, aby przystanęli. Zatrzymano wnet konie, uciszyli się wszyscy. Mszczuj znalazłszy ze swego, począł skulony iść naprzód, aż przypadł i pełznął na brzuchu.

Z za gałęzi drzew, już z liści trochę obnażonych, widać było, na małej łączce u pnia dębu starego, coś czego zrazu dobrze rozeznąć nie mogli. Bieląła jakby odzież jakaś, niby ludzi oznajmująca. Mszczuj się tak skradając po cichu,

przysunął do pnia starego drzewa, a tu, rozpatrzywszy się — wstał śmiało na nogi.

Jadący za nim domyślili się, iż obawiać się nie było czego. Skinął też na nich aby się zbliżyli.

Widok jaki mieli przed oczyma, zdumiał ich litość nie przestrasz obudzając. U pnia dębu siedziała z włosami rozpuszczonemi śliczną dziewczę, zaledwie lat piętnaście mieć mogące. Kwiatek ten świeży zwarzył już jakiś podmuch ostry, na zbladłej twarzy okrutną boleść widać było wyrytą. Oczy miała zwrócone ku górze i nieruchoma tak siedziała, gdyby posąg jaki. Z dwojga oczu niebieskich ciekły dwa lez strumienie, ciekły i zaschły na twarzy, na której dwie tylko krople wezbrane, jak perły się lskniły. Rączyny miała podłożone pod głowę, sparte na drzewie, a na kolanach jej spoczywała druga niewiasta, sukniemi obwinięta, z głową zakrytą, śpiąca, chora czy zmęczona. Twarzy jej widać nie było. Obok dwóch niewiast leżały rozsypane węzełki, suknie zrzucone, kosz z jadem i sprzęt drobny.

Były same, we dwie tylko — nikogo więcej z niemi. Po sukniach znać w nich było niewiasty majątnego rodu, żony żupanów lub władyków. Młodsza miała na sobie przyodziewek futerkiem okładany, druga okryta była kosztowną suknią z ciężkiej tkaniny. Na szyi dziewczeczki świeciły łańcuszki złote i wieszadła, kolce miała przy

uszach, pierścienie na rękach białych wpośród włosów wyglądały.

Mszczuj, który ją pierwszy zobaczył, stanął jak wryty. Piękniejszej niewiasty nie widział w życiu swoim — zdała mu się królewną, albo duchem zaczarowanym tych borów. Obie niewiasty były jakby skamieniałe, nie słyszały przybywających, nie poruszały się wcale. Domyślał się Mszczuj, że ta która na kolanach dziewczeczki spoczywała, us pioną być musiała — a ona nie śmiała ani drgnąć, by jej snu nie przerywać.

Dopiero gdy konie bliżej podeszły a parsknęły i tentent się dał słyszeć wyraźniej, z krzykiem porwała się dziewczeczka, budząc us pioną... Przerażona do obłąkania prawie, nie wiedziała co czynić, bo nie mogła rychło do przytomności przywieść obudzonej

Gdy się tanta podniosła, ujrzeni w niej starszą i poważniejszą niewiastę, twarzy jeszcze świeżej i wdzięcznej, rysów pięknych, z brwiami i oczyma czarnymi, wyrazu dumnego i pańskiego. Ciemnymi i rozrostłymi łuki brwi w półkoła zwieszały się nad powiekami przysłaniającemi źrenice wielkie i ogniste. Patrzała niemi strwożona lecz gniewna razem. Dziewcze daleko mocniej przełękło usiłowało chwytać ją i ciągnąc, uprowadzić z sobą; gdy Mszczuj się pokazał i pospieszył zawołać, by się nie lękały niczego.

Na ten głos, mowę swoją usłyszawszy niewiasty, choć strwożone jeszcze się tuliły do siebie, znać było, że nabrały otuchy. Starsza się podniosła, wyprostowała dumnie, osłoniła płaszczem, którym była przykrytą, i dosyć śmiało poczęła się Doliwie przyglądać. Młodsza skryła się za nią i instynktem raczej niż z rozmysłem, chwyciła włosy rozsypane, których długie, jasne warkocze, całe jej ramiona okrywały, jakby płaszczem złocistym.

Mszczuj, choć znał dawniej na dworze, potem po grodach bywając, wszystkie niemal znaczniejsze rodziny, nie przypominał sobie tych dwu niewiast które — gdyby je był raz widział w życiu, z pamięci wyjść nie mogły. Piękność tylko co rozkwitłego dziewczęcia, tak była zachwycająca, że dość na nią raz spojrzeć było, aby na wieki o niej pamiętać. Twarz też starszej pani, uderzającą była i wdziękami i wyrazem a przybraną powagą. — Zdało się jakby cudzoziemką była, bo i pleć miała śniadszą niż polskie niewiasty i na wierzchniej wardze czarny puszek porastał. Silna, wzrostu więcej niż miernego, pulehna i pełna, postawę miała królowej, i wejrzenie do rozkazywania nawykłe.

Chociaż to spotkanie ich w głębi lasów i przestrach młodszej dowodziły, że obie były w położeniu rozpaczliwém, same jedne, opuszczone, uciekające zapewne przed tą tłuszcą, która nie sza-

nowała ani kościołów, ani niewiast; twarz przecie starszej nie wydawała zbyt trwogi. Brwi tylko czarne zbiegły się jej nad oczyma i dwie marszczki przecięły czoło. Patrzała długo na Mszczuja, badając go oczyma, i czekając aż się odezwie.

— Nie lękajcie się miłościwe panie — rzekł przybywający — myśmy nie napastnicy, sami uchodzimy od napaści. Nas tu dwu braci Doliwów, stary Lasota z pod Szrody, i człek ze służby. Jedziemy ze spustoszonego kraju od Gdyczka, gdzie już i żywej nie zostało duszy.

Gdy to mówił Mszczuj, nadciągnęli jego towarzysze, którym też starsza pani przypatrywała się bacznie, a z za niej kiedy niekiedy, trwożliwie wyglądała ciekawa, kryjąca się za płaszczem, biała twarzą dziewczęcia.

Zatrzymali się wszyscy na widok tych niewiast samych jednych wśród lasu, bezbronnych, aż litość nad nimi brała. Walczyć z nieszczęściem wszelkiem, mężką jest rzeczą i mężowi przystojną — lecz gdy niewieście bezbronnej, bezsilnej przyjdzie tak stanąć nad przepaścią na łasce dziczy, gdy niewiasta w kwiecie wieku, żywota ginie marnie — najtwardsze serce się ścisza. Patrzali nadciągający zdjęci litością wielką, nawet Lasota, któremu własna przypomniła się rodzina, oczy otworzył zagasłe i poruszył się na swym koniu.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki, co was tu ku nam sprowadził, ozwała się starsza niewiasta — Bogu niech będą dzięki. Oto już trzeci dzień jak tu siedzimy same, drząc a płacząc. Ostatni sługa co był z nami, poszedł się rozszluchać po okolicy — i nie wraca. Na Poniec, gród nasz napadły gromady srogie — ludu ćma... Ledwieśmy z córką ujęć pośpiały z jednym starym. I tego nie ma teraz, niewraca, a nas tu głodna śmierć lub zwierza paszczęka czekała...

Co z domem, co z mężem się stało! Bóg jeden wie.

Zasłoniła ręką oczy, z których lzy pociekły, i zamilkła.

Wszyscy z koni zsiadali, przybliżając się nieco. Młode dziewczę wciąż strwożone za matkę się kryło.

Z nazwiska męża znano starszą niewiastę; była ona rodem z Rusi, greckiej matki dziecię, poślubił ją był możny władcyka Leliwa. Miała imię Marty.

Za Bolesława wielkiego czasów, gdy z Rusią były ściślejsze stosunki, a chwilami przyjaźniejsze, swatali się książęta i żupany z rusinkami, brali niekiedy rusini żony ze dworu króla i po grodach.

Ani Marty Leliwowej, ani córki jej nikt z przybyłych nie znał z twarzy, ni je kiedy widział

w życiu. Spicymierza, inaczej zwanego Spytkiem, który nie dawno się był przeniósł na siedzibę do Ponieca, widywali nieraz Doliwowie i Lasota. Mąż to był podeszły już w lata, rycerski, odwagi niezmierniej, czego w wyprawach mnogie dał dowody. Nie śmiano domyślać się nawet co się z nim stało, zmiarkowali wnet wszyscy, że gdy podczas napadu czerni był doma, niżeli by miał uchodzić, raczej życie dał. Mógł żonie swój i dziewczę do lasu kazać się schronić, ale sam pewnie kroku dostał.

Aby daremną mową nie rozżalać zbolalej niewiasty, nikt się nie odezwał z pytaniem o niego, ona sama ręce łamiąc mówić poczęła — bo się pohamować nie mogła, jak zwykle niewiasty w złej doli.

— Bóg jeden wie co się z panem mym najmilszym stało — wołała. Z ludźmi swojemi chciał się bronić do upadłego, a czy potrafił z tych gromad, co go osaczyły, choćby przebojem się wyrabąć?

I płakać zaczęły obie. Wtem Lasota, który przez całą drogę milczał, podstąpił okazując poszarpaną zbroję i ciało pokrwawione, lada jako chustami poobwiązywane, na których też zaschlęj krwi plamy widać było.

— Nie narzekać już dziś na nic, a dziękować Bogu, kto choć żywot ocalił — rzekł. Moi wszyscy

zginęli! Ja cudem ocalałem. Kogo Bóg zachowa sierotą, musi się poddać losowi, poległych oplakując. Dziękujcie Bogu, że was czerń do nogi nie wycięła, bo się na rycerstwo, władyków i żupanów zawzięli srodze, tak aby plemię nasze całe po wszech ziemiach wytępili.

Znałem ja Spytka — nie ustąpił pewnie sromotnie, więc bodaj z życiem uszedł.

Nam też i mnogim niedobitkom, mało co żywota zostało.

Spytajcie miłościwa pani, czy z tych naszych co się w Gdeczcu schronili, żywa uszła dusza inaczej jak w pętach.

Placz i narzekania niewiast na nowo się rozpoczęły, pocieszać je było trudno, milczeli wszyscy. Tym czasem, że się na wieczór zbierało, obozować tu postanowiono, nie chcąc i niewiast opuszczać — które na służbę czekały. — Któż wiedział czy go się doczekać mogły?

Choć w tak srogiem utrapieniu, gdy życie na włosku wisi, nie czas myśleć o piękności niewieściej i w niej się rozmiłowywać — oba Doliwowie, ujrzawszy córkę Spytkową, jako byli młodzi nieżonaci a gorącego serca, nie mogli się jej napatrzeć.

Dziewcze się kryło jak mogło za matką, widząc jak ją oczyma prześladowali, nie pomagało to wiele, bo Doliwowie pod pozorem posług ró-

żnych bliżej się cisnęli, aby choć popatrzeć na nią, a krasą się polubować.

Rozdzielone były wprawdzie od siebie obozowiska, niewiasty się trzymały na uboczu trochę— ale młodym łatwo było wymyśleć sposoby, przybliżenia się do nich.

Sługa ów Spytkówój, na którego czekała aby jej wieści przyniósł o mężu i o grodzie ich — nie powracał; coraz więc prawdopodobniejszym się zdawało. że go gdzieś pochwycono, albo się obłąkał w lesie, lub padł pastwą dzikiego zwierza, choć miał to być człek wielce sprawny i z lasem po bartniczemu oswojony, że w nim był jak w domu.

Jawném to było dla Doliwów, że opuścić tak niewiast nieszczęśliwych nie godziło się. Koni nie miały, tabor niemi zwiększony, jeszcze się wolniej musiał posuwać ku Wiśle, na większe będąc narażony niebezpieczeństwa. Nikt na to nie sarknął, Doliwom obu podróż ze Spytkówną uśmiechała się, bo się w niej na pierwsze wejrzenie rozmiłowali, nie wiedząc wcale o sobie.

Już mrokiem, gdy coraz bardziej o powrocie sługi wątpić poczęto, radzić trzeba było o jutrze, bo stać dłużej, dla szczupłego jądła nie mogli.

Spytkowa zaklinać poczęła ręce łamiąc, aby ją tak samą nie porzucano. Odezwał się tedy stary Lasota, który stał się mówniejszym. —

— Któż by o tém myślał! — Nie przeto będzie bezpieczniej i lepiej, bo i wy nie wiele możemy a przekradać się musimy bronić nie mogąc.

— Dokądżeście ciągnęli —? spytała Spytkowa.

— My...? ku Wiśle — odparł stary. — A no inna to rzecz była nam uchodzić samym, inna z sobą niewiasty prowadzić. Doliwowie nas ku Wiśle prowadzili, gdzie na Mazurach pokój by ma; bo ten niepoczciwiec Masław żelazną ręką lud trzyma. — Ale my go znać nie chcemy, tém ci więcej niewiast mu pokazywać nie można, bo nie téż nie szanuje, ni czei ni życia; a siłą się swą upił jako miodem. — Więc za Wisłę ciągniemy — dokąd? gdzie? Bóg wiedziéć raczy.

Nikt długo nie odpowiadał.

— E! odezwał się w końcu Mszczuj — tak jak jest na zawsze zostać nie może — Ład wróci nasi się skupią, tym czasem choćby szalasy skleciwszy przesiedzimy złą godzinę.

— A głód? mruknął Lasota głowę spuszcżając...

— Na to sobie radzić będziemy, odparli uśmiechając się Doliwowie. — Zresztą co nam pozostało? samym o sobie myśleć i życia bronić!

Stary nie odpowiedział nic, niewiasty szeptały między sobą, i nie postanowiwszy więcej zamilkli wszyscy.

Już noc była prawie, gdy wśród téj ciszy le-

śnej, popłoch znowu padł na obozujących, szczególnie niewiasty lęklive. Szelest się dał słyszeć między gałęzmi. Mszczuj i Wszebor wnet do koni i oszczepów skoczyli. Zbliżał się chód jakiś i po chwili z gąszczy wysunął się, rozglądając ostrożnie człek o kiju idący, z toporem za pasem i oszczepem. Był to ów wysłaniec Spytkowej, o którego powrocie zwątpiono.

Zobaczywszy go, rzuciły się zrazu niewiasty ku niemu, ale wpatrzywszy weń bacznie, wnet się powstrzymały, nie spiesząc z pytaniami.

Szedł on, a raczej włókł się, zataczając ze znużenia, z twarzą zbiedzoną i posępną — łatwo było odgadnąć, że złe przynosił wieści.

Zbliżył się rozpatrzywszy ku ognisku, stanął, popatrzał litościwie na panią swą, oparł się na kosturze i milczał długo, oczyma tylko mówił, że go o co pytać nie było. Spytkowa też badać już nie śmiała, woląc przedłużyć niepewność, niż dostać wiadomość, którą przeczuwała. Stary ów Sobek, choć męskiego serca człek, popatrzywszy na swe panie, płakać zaczął. Milczenie groźne, jak te co burzę poprzedza, panowało przy ognisku. Lasota się ozwał pierwszy.

— Zginał Spyttek? co z waszym grodem się stało?..

Ręką w powietrzu zamachnąwszy, ku ziemi ją spuścił Sobek.

— Zdala tylko patrzałem — rzekł — jak dymiło gniazdo nasze — niema go już, nie został nikt, nic nie zostało.

Ranny Żugwa, co się ze zgliszczy wywłócił do lasu, gdzie go konającego znalazł, powiedział mi tylko, że pan nasieknął dużą trupów górę, nim go dostali, a legł rycerską śmiercią. W kawaly go rozsiekli zbóje.

Zaszły się od nowego płaczu niewiasty, popadawszy na ziemię, ani śmiał kto ich łzy tamować. Przybyły Sobek więcęj nie mówiąc, jak stał zwałił się tuż przy ogniu, bo mu znużenie wielkie nogi podcięło. Odstąpili na stronę Doliwowie i Lasota, zostawując płaczące z ich bolem i losem — naradzając się z sobą co dalej poczynać mieli.

Troje pieszych przybywało im do gromady, bo i Sobek do niej przyłączyć się musiał. Oba bracia się na to godzili, że niewiasty na konie posadzą, a sami pieszo pójdą. Lasoty z nędznej, wychudłej szkapy poranionej zsadzać się nie godziło, bo iść by był niemógł wcale. Pieszko tak idąc, wędrownka przeciągnąć się musiała.

Odeszli z sobą dla narady dwaj bracia, a choć zgodni, jakoś tak na się patrzali, jakby się pokąsać mieli, i nieufnemi ku sobie spoglądali oczyma. Przyczyną tego było owo dziewczę, na które oba łakomie patrzali, i jeden drugiego oczy szpiegował. Mszczuj posądzal Wszebora, a Wszebor Mszczuja.

— Ja konia mojego dam dziewczynie — odezwał się Mszczuj, biorąc w bok — sam pójdę przy niej, aby się gdzie nie spłoszył lub nie padł.

— Dlaczego ty a nie ja? — odezwał się Wszebor szydersko — toć i ja to potrafię.

— A czemuż znowu tobie koniecznie ma przypaść dziewczyna? — ofuknął drugi.

Spojrzeli sobie w oczy ostro.

— Bo mi dziewczyna do smaku! — rozśmiał się Wszebor.

— I mnie toż samo! — odparł Mszczuj.

— No i mnie!

— I mnie!!

Poczęli tak rzucać coraz ostrzejszemi słowy, oczyma się mierząc, jakby się już wyzywali. Żaden ustąpić nie chciał.

A jak byli oba zawsze gorący i łatwi do zadarcia, już się im i na gniew zbierało. Dopiero gdy wybuch był blizki, wstyd się im zrobiło ludzi i samych siebie.

— Słuchajno — rzekł głos zniżając Wszebor — nie pora nam się o cudzą dziewczkę zrzec — dajmy pokój. Pierw ją i matkę ratować trzeba, potem się rozprawiemy czyją ma być. Spytkowa i córka niech sobie same wybierają konie, podprowadzimy je im oba.

Mszczuj głową skinął.

— Ino nie myśl — dodał — żebym ja ci tak łatwo ustąpił. Znasz mnie, że ze mną nie łącno.

— A ze mną też! — znamy się oba.

— Pewno! Niema się tu o co zająć. Dziewki żaden nie weźmie siłą.

Wszebor się uśmiechnął się pogardliwie.

— Czemu? — zapytał — inaczéj jak siłą rzadko się niewiasty biorą!

— A jak siłą to i siłą! — mruknął drugi.

Znowu się omal nie poważnili. Szczeńciem, gdy tak na uboczu pryskali słowy, nikt ich nie podpatrzył i nie podsłuchał. Zamilkli wczas, rozchodząc się, z krótkiej rozprawy z sobą wynosząc niechęć i gniew wzajemny.

Nocą trzeba było, liche skleciwszy szafasy, ognie pogasić aby nie zdradziły, a jednemu stać na straży na przemiany... Dobrze, że jesienne chmurne niebo, deszczem się tego dnia nie rozlało.

Jak tylko świt sposobiono się do drogi. Tu znowu wczorajszy spór się wszczął, ale milezkiem. Oba Doliwowie z końmi się parli wyprzedzając, aby je poddać niewiastom, komu się dziewczyna dostanie. Więc jeden drugiego popychał, oczyma zaognionemi mierząc, a żaden ustąpić nie myślał.

Zawczasu powiązano węzły i sakwy, które Sobek miał dźwigać na sobie, poodziewały się matka i córka, stały gotowe, gdy się przed nimi Doliwowie z końmi znaleźli. Dziękowała Marta Spytkowa, a popatrzywszy na nie, wybrała Wszeborowego konia, który był cięższy i silniejszy, chcąc

za sobą córkę posadzić, aby się od niej nie rozdzielać, w tém Mszczuj się ozwał, że konie ich słabe były, podróż długa, więcéj jak po jednym sadzić na nie trudno.

Dziewczę się zawahało, samo od matki nie chcąc zostać, matka téż porzucić ją nie rada. Gotowe były iść pieszo. Doliwowie stali, a tu czas naglił.

— Miłościwa pani — rzekł Mszczuj — czasu niema co tracić na rozmysły. Siadajcie wy na jedną szkapę, dziewczeczka na drugą, my przy was pójdziemy, a na oczach ją przecie mieć będziecie.

Dziewczę się do matki tuliło, **Spytkowa** wahała. Lasota, którego już wsadzono na konia, nawoływał.

— Niema się tu co drożyć, gdy o życie idzie!

Uściskawszy dziecko i poszeptawszy jéj na ucho, choć od niej oderwać się było trudno, siadła starsza pani na **Wszeborowego** konia, **Kasię** dając Mszczujowi, który zwycięzko a szydersko na brata się oglądał.

Dziewczę imię miało **Katarzyny**, jednéj z najpowszechniéj czczonych naówczas patronek.

Ruszyli więc w imię **Boże**, manowcami znowu i koń przed koń, tak że dziewczę za matką zostać z Mszczujem musiało, ale się zaraz otuliło i osłoniło tak, że ani oczu nawet jéj widzieć nie mógł.

Mijając ze starszą brata **Wszebor**, schylił mu się do ucha.

— Niedoczekanie twe, abyś ty się nią długo cieszył, wzmęc ja ją z kolei.

— Zobaczemy — rzekł Mszczuj.

— A no...

— Zobaczemy.

I tak się gniewni bracia rozstali. — Umyślnie wiedziono najdzikszemi puszczy ostępami, w których śladów nie było ludzkiej stopy. Lasy się w tę stronę nieprzerwanie ciągnęły, a jak sobie Doliwa pochlebiał, miały ich aż do Wisły doprowadzić, boć cały kraj naówczas nie czem inném był, tylko ogromnym lasem, tu i owdzie poprzerąbywanym, wykarczowanym kawałami.

Gdzie się kolwiek człek obrócił, bliżej lub dalej las widział przed sobą, i choć się trafiła polana albo łąka, tuż za nią bór się znowu poczynał. Jechali tak długo, gdy z południa już rzadnąc począł bór i ze strachem niemalym wybiegłszy naprzód Mszczuj, postrzegł, że stali nad rozległą, płaską, odkrytą równiną.

Wprawdzie na drugim jej krańcu bory znowu widać było gęste, lecz tak daleko, iż powoli jadąc, niemal dnia potrzebowali, nimby się tam dostali. Właśnie w tej stronie kędyś i ta Wisła, za którą się schronić mieli, znajdować się była powinna. Należało więc coś obmyśleć, aby długo na widoku nie stać w przerzedzonym lesie.

Sobek się ofiarował sakwy zrzuciwszy, wypełniając ostrożnie dla rozpoznania okolicy.

Zdała już gdzieniegdzie nad ziemię podnoszące się dymy, oznajmywały, że dolina całkiem opustoszałą nie była.

Sobek który bartnikiem niegdyś bywał, wdrapawszy się na drzewo, dojrzał w dali spalony gródek, mury kościółka na pół obalone, a co gorsza — zdało mu się dojrzeć też ogromne obozowisko ludzi pieszych i konnych, z szeroko porozkładanymi ogniami, około których stada się pasły, bydło i konie leżały, kupy jakieś nagromadzone sterczały.

Domyślał się, iż trafili nieszczęściem na jedną z tych gromad, które ciągnąc z osady do osady, dwory, grody, klasztory i kościoły pustoszyły równając z ziemią. Byli to lud z okolicy, prusacy czy Masławowe wojsko — trudno się kto mógł domyśleć, a dla zbiegów równem to było.

Potrwożyły się, chcąc nazad w puszcę niewiasty, choć obóz leżał w bardzo wielkiem oddaleniu; godzili się wszyscy dalej w lewo brnąć, w stronę, w którą się lasy zataczały i niemi okrążyć dolinę.

Śmielszy od innych Sobek, radził w gąszczy przystanąć i czekać, sam się ofiarując iść na zwiady.

Choć Lasota mu się to starał odradzić, a niewiasty stracić się sługi lękały, nie było dla podróżnych obojętnem dowiedzieć się, co się w tej stronie działo, ku której dążyli.

Nie długo się spierano, bartnik tak siebie pewnym był, a ochoczo się brał do tego, iż mu się wybrać dozwolono. Doświadczony bywalec umiał się wygadać jak było potrzeba, przybrać postać różną, udawać kogo chciał, a spodziewał się, że w mnogim tłumie czerni, nikt go przecie poznać nie może. Im większe były gromady, tём mu się zdało bezpieczniej, bo wszyscy się tam znać nie mogli. Mowa i odzież prosta, łatwo mu się przekraść dozwalała.

Od kraju lasu do obozowiska przestrzeń była znaczna — musiał Sobek tak się przekradać aby nie widziano, że z puszczy wychodził.

Doliną nieco dalej, przepływał strumień, którego brzegi gęste wierzby i łoża zarastała. Aż do brzegu jego Sobek położywszy się na ziemi, ostrożnie pełznąć musiał po łące i roli.

Dostawszy się do zarośli, zwolna się niemi przekradając, mógł się przysunąć do obozu i znaleźć w nim niepostrzeżony, jakby od stad pasących się nad wodą przychodził.

Ze zręcznością dzikiego człowieka, którego instynkt i wprawa wiedzie jak zwierzę, wszął się w łoża Sobek. Zdala chyba myśliwca oko mogło dostrzedz z lekka drgające gałęzie, tam gdzie się on przedzierając ostrożnie, poruszał niemi. Baczył i na to, trzymając się wody, gdy było można.

Dosyć mu też czasu zabrało to przekradanie się nad rzeczulką, gdy usłyszał wreszcie rżenie koni, ryk bydła, i szmer a gwar ogromnej ludzi kupy. Był już około pastwiska.

Śmiały równie jak zręczny, Sobek topór zostawiwszy w łożach, sam się z nich dobył niosąc pęk nałamanych dopiero wici, które idąc po drodze plótk a kręcił na pęta.

Nikt też na niego oczów nie zwrócił i z łożami pod pachą wsunął się w stado pasących się koni rozpierzehłych szeroko.

Ztąd już widzieć mógł, iż nie na wojsko żadne trafił, ani na Czechów lub Prusaków, ale na tę zbójceką czerń, która z żagwiami i kołami od dworu do dworu ciągnęła.

Biesiadowano około pobranych łupów ze śmiechem i krzykami. Dalej pośrodku obozu powiązane w łyka, leżały pokotem pobrane niewiasty i wyrostki.

Za obóz wyrzuconych kilka się trupów wałowało, około których psy wareząc chodziły. Namiotów ani szałasów nie klecili najezdcy, leżąc pod gołym niebem. Palily się ogromne ognie, a przy nich piekły barany i porznięte bydło. Stały beczki poodbijane, z których kto chciał czerpał. Na ziemi dostrzegł Sobek kupy owo wszelkiego bogatego sprzętu dworskiego i kościelnego. Ponad gromadami sterczały starym obyczajem Stanlee z bożyszczami różnemi. A że dawnych poułazczonych

nie stawalo, w większej części rzezane były lada-jako, nieforemnie z drzewa.

Pieśni pogańskie i swawolne rozlegały się do koła, bo gromady były podpite, a ochota wielka.

Sobek stał tak patrząc pośród koni, nie wiedząc czy iść ma dalej, gdy opily parobczak, który z biczyskiem stada pilnował, przystąpił doń i począł mu się przypatrywać. Nie ulękły stary, plótt dalej wić, wzajem mu téż w oczy zaglą-dając.

— Pasza zła! — zamruczał, poczynając rozmowę chłopak.

— Ta! dla koni — rzekł Sobek — a dla nas jest jój podostatkiem. Cóżes to ty głodny? — zaśmiał się.

— Ja nie! ano mi march szkoda.

— Licho ich nie pobierze. Darmoć one przyszły, bośmy je po dworach zganiali, choćby który i zdechł! Przecie i krukom się coś należy — mówił Sobek spokojnie.

— Na! na! — mruknął parobczak — jużby dosyć téj włóczęgi... Dwór się na okolicę pono i jeden nie ostał, ani klasztor, ani kościolisko, a za chatą tęskno.

— He? cóżes to w niej zostawił? — pytał Sobek — dziewczynę?

— A pewnie, jak nie dwie! — odparł parobczak — gołowas nie jestem, toć mi się należy!

Obrócił się głową ku obozowisku.

— E! tam ich jest kilka, tam! a no sobie starszyzna pobierze, nam ino chyba baby zostaną!

— Wróćcie do swojej, to i lepiej. Niema tam komu bałamucić, kiedy wszyscy wyszli — mówił Sobek.

— E! e! — mruknął pastuch. — Wszyscy, albo i nie.

Ziewnął i westchnął razem, a nabrawszy fantazyi z bicza trzasł, że aż konie się spłoszyły, czém sobie śmiechu narobiło pacholę.

— Toć już pewno wrócimy teraz, kiedy nie ma co dalej robić, bo nic nie zostało! — odezwał się Sobek — a i mnie do chałupy markotno.

— Zjesz licha! — rzekł pastuch. — Zostałoć horodyszcze Olszowe! Władyki się na nim zamknęły, z któremi skarby są wielkie i dziewuch siła, a tych ani dostać. — Toć musimy borsuki z jamy wykurzyć!

— Gdzie? jakie Olszowe horodyszcze? wtrącił stary — jam nie słyzał.

— Boś stary i głuchy! — śmiał się parobczak — a gdzieżeś był, gdy my tam chodzili?

— Ja? — odparł Sobek — jam trzodę paś. Niewiem nic.

— Toć tam ludzi nam nabito i musieli precz odejść — ale ich głodem weźniemy!

To mówiąc pastuch świstać począł i do rozmowy nie miał ochoty.

Sobkowi téż wie się rwała, kłął wołając, że po lepszą łożę musi iść. Nikt nań nie zważał. Powlókł się znowu w gąszcze nad rzeczkę. Zaszył się w nie, postął, popatrzał, przyczaił, dopadł zostawionego topora, wetknął go za pas i zobaczywszy że pastuch znowu na ziemi legł, wcale za nim nie patrząc, napowrót począł z tą samą ostrożnością przedzierać się zaroślami ku lasowi.

Smiała ta wycieczka szczęśliwie mu się powiodła, nikt ani nań spojrział nawet.

Szybszym krokiem, trzymając się brzegu, doszedł do cypla lasu, wypełził z zarośli, i dobiegł do puszczy niepostrzeżony. Tu, na wilgotnej ziemi dobrze dla jego oczów znaczne ślady koni, poprowadziły go do miejsca, gdzie nań niecierpliwie oczekiwano.

Nie bez obawy myślano tam czy mu się uda dostać języka, choć Spytkowa ręczyła za niego, iż człek był przebiegły i zręczny, jakiego drugiego nieznano, dlaczego i nieboszczyk mąż, jej go i córce dał w usługi. Wrócił bartnik wcześniej niżeli się go spodziewano. Postrzegłszy idącego zdala, wszyscy się doń cisnąć zaczęli.

— Cóżś widział? co za ludzie są? — pytała Spytkowa.

— Czerni taż sama pewnie, która i u nas była w Poniecu — rzekł Sobek. — Nietylkom ją na oczy oglądał, ale między nich prawie wszedłem, i z pastuchem gadałem.

Niedługo pono pójdą po chatach odpoczywać, łup podzieliwszy, bo się już przed nimi nie zostało, krom jednego Olszowego Horodyszcza. — Tam się władzyki bronią, ludzi im nabili i chyba ich głodem będą brać, bo inaczej nie mogą.

— Ho! ho — przerwał Lasota — niedoczekanie. Na Horodyszczu siedzi stary Belina ze swojemi, ten się zawczasu zasposobił, nieda się choćby mu się i rok bronić przyszło. Belinę znam. Smieli się z niego ongi ludzie, że w bezpiecznym miejscu siedząc, zawsze się tak zbroił, opasywał, zboże zsypywał, jakby się oblężenia spodziewał. Przed się on jeden rozum miał.

Za Bolesława myśleli wszyscy, że się już wszystko skończyło, tylko on w nawrócenie nie wierzył, a wróżył wciąż, że poganie kiedyś kościoły wywrócą, a nas chrześcian wymordują. On ci jeden widział i wiedział co się stać miało! — dodał wzdykając Lasota.

— A czemużby my, miłościwy panie — odezwał się, do nóg mu kłaniając Sobek — zamiast za tę Wisłę, do której się dostać trudno, nie pościągęli na Olszowe Horodyszcze! Jabym poprowadził!

Zamilkli wszyscy.

— Wieszcze ty drogę! — spytał Lasota.

— Znajdę ją, głaskając się po głowie i potrząsając nią odezwał stary.

— A przyjmą nas tam? — dodał starszy Doliwa.

— Jak odepchnąć mogą? — zawołał Lasota — oni mi plemiennicy, ona mi krewna. Belina nigdy chrześcianina a rycerskiego człowieka nie odepchnął od proga.

— Nie objemy go bardzo! — dodała Spytkowa — której ta myśl się wydała ratunkiem jedynym.

Doliwowie się nie sprzeciwiali, nie opierał się nikt tak szczęśliwej myśli — szło tylko o to, jak i któredy dostać się do Belinów. Wedle powieści Sobka, półtora albo dwa dni było drogi, a do gródka docierać musiano ostrożnie, bo choć czerń od niego odstąpiła, czaty i straże do koła zostawić musiała, na które wpaść było łatwo.

Mszczuj to przypomniał, a Lasota pochwalił. Czerń się pewnie zdobyczy nie wyrzekła i Horodyszczka zupełnie opuścić nie mogła.

Na przednie zwiady znowu się Sobek ofiarował ochoczo. Jedyńy był człek, że go wszyscy pokochać musieli, bo znużonym nigdy nie był, gotów do posługi zawsze, jadła potrzebował mało, snu niewiele, do rady chętny, gdy o nim zapomniano, pół dnia milczał nie zaczepiając nikogo. — Przed wieczorem jeszcze pociągnięto głębiej w puszcę dla bezpieczeństwa, i żeby czasu nie tracić. Doliwowie zdali na bartnika prowadzenie. Następny dzień zostawał cały jeszcze na powolny po-

chód ku Horodyszczu. W niewiasty trochę ducha wstąpiło z nadzieją, że się między swych miały dostać, a nie gdzieś w ostępie obozować, Maślawa się ciągle obawiając, napadu i niewoli.

III.

Do dnia o słońcu, wyruszono z noclegu. Nocą jeszcze wzięło się na deszcz jesienny, spokojny, powolny, do gęstej mgły podobny, który się, jak Sobek mówił kręcąc głową, na długo obiecywał. Oślizły wnet drogi leśne, obmokli wkrótce podróżni, a niewiasty, choć się od zimna poostaniały i wilgoci — przemarzłe jechały i zmoczone. Spytkowej gdy tylko mówić z przewodnikiem przestała, a mówiła rada — na płacz się zbierało.

Mszczuj ani wczora, ani dnia tego wiele nie zyskał na dziewczęciu, przy którym ciągle się był starał, konia wiodąc i gałęzie łamiąc, aby nie trąciła o nie. Kasia wciąż unikała spojrzenia na niego, a deszcz dozwalał się jej tak os'aniać, że wcale nie mógł dojrzeć, ani oczu dziewczęcia.

Starsza pani, Wszebora trzymała przy sobie rada, z żalami się przed nim rozwodząc nieskończonemi.

A że macierzy się zalecać musi, kto chce córki dostać, Wszebór sobie rachował, że co straci nie będąc przy Kasi, to odzyska przy pani matce. — I śmiał się z Mszczuja w duchu. Mszczuj i tak był markotny, bo mu Spytkówna często, gdy ją zagadnął, nie odpowiadała.

Dziewczę było płochliwe, skromne, milczące na podziw, jakby w sobie młodości nie czuło. — Żal i boleść może je takim czyniły. Słowa się nie mógł dopytać Doliwa, a jeżeli co szepnęła, to tak prędko i cicho, że pochwycić było trudno.

Za to pani matka mówiła za dwoje. Od tej czego chciał i nie chciał, mógł się Wszebór dowiedzieć. Młodość swoją spędzoną na Rusi, pierwsze swaty, wesele, przybycie do polan, pożycie z małżonkiem, przygody swe i jego, aż do ostatnich wypadków, po kilkakroć mu, coraz co nowego wtrącając, opowiadała Marta Spytkowa. . Mówiąc płakała i śmiała się czasami, gdy zapomniała o smutku, śmiech się łzami przeplatał, płacz uśmiechem, niekiedy i czarnemi oczyma zagrała, jakby jeszcze młodą była.

Mówiła o sobie, o mężu, o córce, o wielu, co się gotowi byli rozmiłować w niej, gdyby tylko dozwoliła — o wszystkiem co na pamięć przyszło. Rozpowiadanie to widać było dla niej potrzebą,

bo gdy Doliwy nie stało, wołała Sobka, obracała się do córki, a rzadko się jej usta zamykały.

Smutku się znać w ten sposób pozbywała, bo ledwie zamilkła, łzy się jej puszczały z oczów. Wszebór mało jej co przerywał, dość było jednego słowa, by dalej popędzić nieustającą powieść.

W przeciągu jednego dnia, on z panią matką tak już był poufale a dobrze, jakby się znali od dawna.

A że w owych czasach w ogóle ludzie szersi byli, mógł naprowadzić wprędce rozmowę na córkę i chwalić ją począwszy, dał do zrozumienia, że mu do serca przyłgnęła.

— A! toć to jeszcze dziecina! niedojrzała a słaba — odparła chmurno Spytkowa — daleko to temu, aby ją mężczyźnie dać. Gołębiami się jej zabawiać i piosenki śpiewać, pociechy by z niej nie miał gospodarz, bo rączyny ma słabe. Gdzie! gdzie! daleko do tego!

I głową potrzasała. Nie nalegał Wszebór, rad może będąc, że Spytkowa dziewczęciami łatwo się pozbyć nie ma ochoty.

Mszczujowi szło gorzej, a no cierpiał.

Nie odpowiadała mu Kasia, dla tego jej idąc swoje prawil i różnemi baśniami, zabawiał ją jak mógł.

Kiedy niekiedy trochę odsłoniła twarzy, matkę chcąc zobaczyć, chusty poprawić, błyskało wówczas oczko niebieskie, szyjka biała, rumianego

lica trochę, złotych włosów pierścionek, i wnet się otulala znowu, a Mszczuj nic nie widział, tylko oponę pofałdowaną po której deszcz spływał.

Mimo młodości, tak jej smutnie z oczów patrzyło pieszczoszcze, taka była jeszcze przestraszona i zbolala!

Stary Lasota znów teraz milczał drogę całą, Dębiec z Sobkiem, dobrze się dobrawszy do pary, przodowali gwarząc po eichu z sobą. Tym, choć niedawno się poznali, w ciągu jednego dnia udało się zupełnie pobratać i podrużyć. Kołodziej z bartnikiem rozumieli się dobrze, jakby z jednej dieży chleb jedli. Po wycieczce śmiałej do obozu, Dębiec dla towarzysza powziął takie poszanowanie, iż mu się jak starszemu i ojcu pod rozkazy poddawał.

Sobek pilnował, aby nie wpadli na ludzi, nie spotkali się z włóczęgami, a wymijali drogi leśne.

Dziwili mu się wszyscy, jak miał oko i ucho i nos wprawny, do pochwycenia najmniejszego głosu, światełka, woni. Zaleciała spalenizna, wiedział pewnie co się i gdzie, jak daleko paliło, czy drzewo, czy mokre liście, czy dziupla przegniła. Powietrze też ciągnąc, wodę w bliskości poczuł, pole rozpoznał, las od boru zdala rozróżnił. On pierwszy ostrzegł, gdzie co mignęło w gąszczy i nicomylił się ani na zwierzęciu, ni na ptaku, a najmniejszy szmer, którego drudzy się nie domyślali, chwytął i zrozumiał. Nieraz za-

chrzęszczało w zaroślach, załopotaly skrzydła ptasze, nie potrzebował głowy podnosić, by powiedzieć co przebiegło drogą i co pojechało górą... Ślady też na ziemi czytał jakby książkę dla siebie pisaną, a nie uszła jego oka złamana gałąź, wyleżały barłóg, spasiona łąka, zmacona woda.

Z jego łaski też na żywności nie zbywało, bo Doliwom pokazywał na pewno, gdzie zwierza szukać mieli i jakiego; a gdy na rzeczkę trafili, rękami bez saka ryby łowił. I był człek, choć niby spokojny, nieustannie czynny, po drodze to grzyby, to jagody zbierając, to nasłuchując, to przyglądając się, a wszystko to nie go nie zdawało się kosztować.

Doliwowie też zdawszy się na niego, już się nie mieszcili do drogi, słuchali co im powiedział, bo się nie mylił nigdy.

Tak się coraz w głąb puszczy dalej dostawali a dzień ten, mimo wszelkich ostrożności nie obył się bez strachu.

Wśród lasu, Sobek naprzód poczuł zgorzeliznę, ale zaręczał, że ognisko wygasłe być musiało dawno, i dym tylko tak przywrzał do wilgoci. Rozpatrując się baczniej, postrzegł w gąszczy z gałęzi narzuconą kupę, która widocznie ręką ludzką była sklecona i za szalasz służyć musiała. Zbliżywszy się ostrożnie, znaleźli tu śpiącego człowieka, który zbudzony nagle, postrzegłszy ich, wyrwał się chcąc uchodzić. Bliżej stojący Sobek

z Dębem, rzucili się nań i obalili na ziemię — lękając się aby o nich nie oznajmił, bo nie wiedzieli kto był.

Sobek broniącemu się, byłby na razie głowę rozbił toporem, gdyby się wczas nie opatrzył, że to zbieg był, chowający się w lesie, a nie żaden z czerni włóczęga. Straszno było wejrzeć na niego, bo, choć młody i silny, od dni wielu kryjąc się bez żywności, utrzymując życie wodą, liśćmi, korzonkami, wychudł był i wysechł straszliwie, a głodowa gorączka i obłąkanie go opanowało. Sił miał mało, wejrzzenie straszne, jakby mu się wewnątrz paliło, a płomień lało oczyma.

Gdy ze strachu ochłonawszy ludzie, poznali kto był — litość ich wzięła nad nieszczęśliwym. Podniesiono go z ziemi, a gdy inni nadjechali, dała mu Spytkowa chleba suchego, który on chwyciwszy zapamiętał, nie patrząc, nie słysząc nic, jeść począł. W tej pierwszej chwili nie się też od niego dopytać, nie dowiedzieć nie było można. Zaspokajał głód, pozbywał się trwogi, której doznał nagle ze snu gorączkowego będąc zbudzony.

Lasota litujący się chętnie tym, co jak on nieszczęśliwi byli, pilno się w zmienione lice począł wpatrywać. Mimo strasznie wychudłej i poczerniałej twarzy, zdało mu się jakoby go gdzieś kędyś widywał.

Zbieg też popatrzawszy nań — zamruczał pierwsze słowo, co mu się z ust wyrwało: Lasota!

— Boże miłosierny! Toś ty nie kto inny tylko Bohdaś Toporezyk! — krzyknął stary ręce łamiąc. Ale cóż tu w lesie robisz? sam? Przecieżeś przy Kaźmirzu był i myśleliśmy, żeś z nim za granicę do Niemców uszedł, takeście się z nim trzymali. Królewicz cię lubił, niepowinien był opuścić.

Dopiero się usta Toporezykowi otwarły.

— On też mnie nie opuścił — rzekł — nadto to dobry i bogobojny pan, choć z nim ludzie sobie niedobrze, niepoczeiwie poczęli! Odbiłem się ja przypadkiem od dworu jego, nim ujechał do matki. Potem już wracać nie było do kogo i gonić nie miałem sposobu. Chwyciła burza i ot— co się stało ze mną.

Mówiąc, jęczał Bohdaś. Stali nad nim wszyscy z miłosierdziem wielkiem mu się przypatrując... Znowu tedy jednym biednym człowiekiem pomnożyła się owa gromadka, a nim go odżywiono i naradzono się, co poczynać dalej, wieczór się zbliżył.

Obradować musiano, już nieopodal będąc od Horodyszcza, jak się dostać do niego, czy nocą dobijać, czy nazajutrz stać i spoczywać do wieczora, by potem, dnia unikając, przybyć o mroku.

Starsza pani o pośpiech nalegała mocno, trwożną będąc i zmęczoną, drudzy się wahali. Bohdasia Toporezyka ni myśleć było porzucić, a wszystkim po głowie chodziło, że im więcej ich przytulku miało szukać na grodzisku, tém trudniej

z tyłu gębami znaleźć mogli przyjęcie. Już się ich teraz ośmioro zebrało, a żywić w głodny czas ludzi tyłu, nie było łatwo obłożonym. Choć Belinowie znani byli jako ludzie chrześcijańscy i miłośni, przecie naprzód o los i przeżywanie rodziny własnej dbać musieli.

Nikt nie mówił nie, frasowali się wszyscy. — Sobek spytany radził tegoż wieczora, korzystając z mroku jechać dalej. Nieco pożywiony i napojony Bohdaś ofiarował się wlec dopóki sił stanie. Spytkowa w której koszu była jeszcze odrobina jakiegoś napoju, dać go kazała osłabłemu, co go nieco orzeźwiło.

Więc choć ciemność nadchodziła, że słońca trochę nad zachodem ustała, wszyscy się do dalszego uszykowali pochodu. Wedle rachunku Sobkowego, który nie mylił nigdy, przed pierwszemi kury, dostać się mieli do tej doliny, w środku której nad rzeczką stało Belinów Olszowe Horodyszczce. Sobek z Dębem szli przodem, za nimi jechał Lasota, dwie niewiasty, przy których szli Doliwowie i przybysz ostatni. Tego Mszczuj pod rękę wiódł, bo nie wiele jeszcze siły miał do chodu.

Spytany Lasota przez jejmość starszą, mógł poświadczyć o Toporczyku, iż był na dworze królowej Ryksy, przy królewiczu Kaźmirzu wychowany, któremu go do zabaw dodawano; starego rodu i możnego dziecięciem. Spodziewano się po nim wiele, bo i księża go uczyli Benedyktyni

i sam dwór głowę otwierał, a pojętny był we wszystkim, i choć nauki miał więcej niż inni, rycerskiego ducha w sobie zachował.

Gdy tak szli, zagadł go wkrótce Lasota, pozrywając ku sobie, aby się coś więcej dowiedzieć, jak popadł w to nieszczęście, z którego cudem ocalał. Lecz, o tém niechętnie mówił Toporezyk, winę zwalając na nieostrożność własną — a domyśleć się tylko było można, że wyprawiony został, aby królewiczowi, już zagrożonemu wygnaniem z kraju za matką, posiłki przywołać.

Dla niego się poświęciwszy, ścigany, odcięty od Kaźmirza, zmuszony błąkać się, gdy kraj cały wojna i pożoga objęła, tułał się już, byle życie ocalić.

Na wspomnienie o Masławie, cały się Bohdaś wstrząsł, zawrzał, pięści mu się same ścisnęły jak do bójki, i w gniewie okrutnym zawołał, że wolałby z głodu umrzeć, lub od czerni ginąć, niż łaską jego żyć.

— Psiego syna tego imienia wymówić nie mogę, bo mnie dławi! — mówił. — On sprawca! on winowajca, on zdrajca. Wszystkie krew nasza na jego głowę! Nie może to być, aby go Bóg nie ukarał. Królowę naprzód, która nim pogardzała, jak zasłużył, prześladował i wygonił, królewicza zamordować chciał, gdyby mu nie uszedł, sam panowania zapragnąwszy! Wiedział przechera, że gdy się krew poleje i pustynią kraj stanie —

ludzie zawołają na ratunek, choćby zbója! Aleć lepiej ginąć, niż u niego łaski żądać!

I wedle obyczaju wieku, Toporezyk kląć i bezcześcić począł Masława, za którym też nikt się nie ujmował.

— Psa nie wart — przerwał Lasota — toć pewna, a skoro siłę będzie miał, poklonią mu się ludzie, komu życie miłe!

— Nie doczeka zbój tego! nie doczeka, póki nas choć garść została — począł Bohdaś. — Albo nazad nie możemy powołać do nas wnuka Bolesławowego? Uszedł od nas, ale gdy doń ręce wyciągniemy przyjdzie, i panować nam będzie, nie jako ojciec, ale jako dziad, bo mąż rycerski jest, rozumny, bogobojny, do boju i do rady. Czyż nas już do szczytu jak pszczoły wybito?

Choćby garść została, cesarz mu pomoc da, by Czechy zawojowaniem naszej ziemi nie urosły do zbytku. Iść trzeba — prosić, wołać!

— Toć to syn Ryksy! — szepnął cicho jeden z Doliwów.

— Wiem ci ja — gorąco począł Toporezyk — że królowej matki nikt u nas nie lubił, — że jej wszystkie złe przypisywano.

Jam patrzył tam, jam żył. Nie tak było — nie tak! Królowa pani pobożna i rozumna, surowa była dla ludzi, przeto jej nie lubili — ale sprawiedliwa i miłosierna. Prawili na nią, że naszych nie cierpiała, a Niemcy się otaczała, prawda i to,

bo nikt się też do niej nie garnał, obyczaj nasz stary pogański zrażał ją i zniechęcał. Bała się ludzi naszych, wołała z pobożnemi i mądrymi obcować, o świętych sprawach słuchać. Rady ich zasięgała, bo jej zkadindziej wziąć nie mogła. Naszy na nią koso patrzali.

A! a! — mówił spoczawszy nieco Toporezyk — nie łatwo to zrozumieć jak i co się stało z nami. Czujemy tylko, że nas ręka Boża dotknęła, za to żeśmy własnych panów szanować nie umieli. Za to dziś czerń nam karki guiecie!

Gdy tak rozpowiadał, a wszyscy go słuchali ciekawie, po długim i nużącym pochodzie, już w głęboką noc, kazał się naprzód jadącym uciszyć, potem stanąć Sobek, bo się już las przerzedzać zaczynał i zdało się jakby się już zbliżali ku dolinie, wśród której stało Olszowe Horodyszcze.

Trochę też jaśniej się na niebie zrobiło, bo resztką księżycy weszła była, i choć z za obłoków przyświecała.

Sobek poszedł znowu przodem skradając się, by wypatrzeć, czy do koła gródka, kupy jakie oblegające go, lub strzegące nie stały. Wszyscy więc nieruchomie w gąszczach się zatrzymali, a bartnik przygarbiwszy się popod krzaki wsunął i puścił na zwiady.

W istocie dolina, którą mieli przed sobą była ową Olszową, a wpośród niej nad rzeczką Olszańką zwaną i moczarami ją otaczającami, wznosiło

się horodyszcze, na kopcu dosyć wysokim i mocno obwarowanym. Wały i ostrokoły wysokie, całe je niemal osłaniały, tak, że ledwo gdzieśgdzie z za nich dachy wyglądały.

W dolinie Sobek niedojrzał nigdzie żywej duszy, nad rzeczulką tylko ślady były świeże jeszcze ogromnego zbiegowiska, wydeptane, wyleżane, wypalone miejscami. Głównie zgasłe, koły przy których konie stawiono, jamy na ogniska pokopane w ziemi, reszty poobalanych szałasów, kupy kości białych zalegały dokoła.

Na gródku też, do którego Sobek zbliżyć się usiłował, cisza była jakby wszyscy wymarli, ani światła, ani głosu. Dobrze się dopiero wsłuchawszy, po szmerze i chodzie rozpoznał, iż na wałach stróże czuwali i chodzili.

Opatrzywszy jeszcze z której strony wrót do wniścia szukać było potrzeba, powrócił nazad spiesznie posłany, aby natychmiast gromadkę swą prowadzić, póki do koła cicho i bezpiecznie było.

Zaledwie z lasu się wysunęli w dolinę, gdy na gródku posłyszeli nawoływanie, znać ludzie czujni, postrzegłszy ich, zaraz się ruszyć musieli. Sobek, który po nocy jak kot dobrze widział, dostrzegł, iż po nad ostrokołami ludzie wyglądali tu i owdzie. Im się ku gródkowi bardziej zbliżali, tém ruch silniejszy się stawał. Do wrót wiodła droga stroma, pozawalana umyślnie kamieniami i belkami, w kilku miejscach poprzekopywana;

po nocy z wielkim trudem i niebezpieczeństwem przyszło ją przebywać.

Zostawując za sobą towarzyszków, jakby rozbudzony, ruszył przodem, pierwszy stary Lasota. Czatowano już nań u wrót, bo gdy huknął i nawoływać zaczął. Belina! wnet mu się odezwano.

-- Kto i z kąd?

— Ranni, nieszczęśliwi, sieroty, dwie niewiasty i kilku niedobitków, zawołał stary, miłosierdzia waszego prosimy. Ratujcie, kto w Boga wierzy, przytułek dajcie!

Na to pierwsze wołanie. czy się naradzano, czy wahano, długo nie było żadnej odpowiedzi. Lasota zniecierpliwiony, do samego Beliny odzywać się począł, aby ku niemu wyszedł.

— Belina! stary! bywaj do mnie! na miłosierdzie Boże.

Znów tedy czekano długo, a za ostrokołami szmer tylko i tuptanie słychać było. Aż w górze, na pomoście pokazała się postać jakaś ciemna, męczyzna w wysokiej czapce na głowie, z kijem białym w ręku.

— Podwórca i gród nasz, jak nabił pełne, chleba omal mamy. Choćby dusza rada, jak przyjmować! My się tu sami ledwie przekarmić możemy...

-- Dajcież nam, choć bez chleba, w spokoju u was głodem pomrzeć raczej, niżbyśmy w ręce

zbójów i niewolę haniebną wpadli — krzyknął Mszczuj.

Milezano długo. Spytał głos z góry.

— Kto wy?

Lasota się pierwszy wymienił, bo był im znany i pokrewny, powiedziano potem o Spytkowej z córką, dalej o dwu Doliwach, wreszcie Toporeczyka wymieniono i sług dwu.

— Osiem dusz! osiem gąb! z góry wołać poczęto. Nie może być, tu na trzech miejsca niema.

— Niewiasty weźmiemy! — zakrzyczał głos drugi.

— Belino stary — przerwał Lasota, na głos doniosły się siląc — w którym gniew czuć było. Chcesz byśmy tu ci legli pod wrotami srom czyniąc, żeś chrześcijańskiego serca nie miał. Dobrze... Legniem, niech nas tu wiley jedzą, pod oczyma waszemi!

Na pomoście wszczął się gwar i swary, słychać było żwawą sprzeczkę. Jedni chcieli uczynić miłosierdzie, drudzy się wzbraniali. Lasota i Doliwowie nie mówili nic, Toporeczyk milezał, siadłszy na ziemi, Spytkowa ręce łamiąc lamentowała głośno, dziewczę płakało po cichu.

— Gdyby już nas choć puścili, wołała Spytkowa, rzucę się im do nóg, nie może być, żebym nie wyprosiła dla was schronienia.

Po przestanku, ktoś się z za ostrokołu pochylił ku dołowi.

— Bohdaś Toporezyk? Tyś to? — zapytał.

— Jam ci, albo cień mój, bom ledwie żyw — rzekł głowę podnosząc Bohdaś. — Byłbym już umarłym, gdyby nie miłosierdzie tych ludzi.

— Niewiast dwie, Lasota i Toporezyk! — zawołano z góry — więcej nikogo. Dziej się wola Boża!..

Stało się milezenie, Spytkowa poczęła się przebijając ku wrotom, aż Bohdaś wstał i podstąpił.

— Niewiasty puszczajcie — rzekł — ja nie pójdę bez drugich, zostanę z niemi. Gdyby najmniejszy ze sług za wrotami miał zostać, ja także. Albo wszyscy, albo nikt. Pójdziemy dać gardło Masławowi.

Oslabły Bohdaś tak głos podniósł nagle, że się drudzy postraszyli, życie mu wracało z całym ogniem młodości.

Znów tedy na górze się swarzone i rozprawiano, a wrota stały zaparte. Bohdaś wpadł w gorączkę.

— Puszczajcież niewiasty! — wołał — choć to się należy, aby dziec ich nie zbezczeszciała i nie znęcała się nad niemi. A niechcecie ocalić braci, chrześcian ubogich, żeby z niemi kawałka chleba nie dzielić — kat was porwij! Godniście, aby was dobyto i wyrzezano lub popędzono w niewolę!

Śmiałe te wyrazy nie wywołały odpowiedzi, wszystko zamilkło. Potém jeden się strofujący głos podniósł, a inne zmilczały. Wśród téj ciszy

słychać było szlochania Spytkowej i gniewne przekleństwa Mszczuja.

Zmęczeni podróżą, posiadali u wrót na kłodach i kamieniach. Miłosierdzia prosić już nikt nie chciał, wszystkich gniew okrutny burzył.

Czas jakiś tak upłynął, a nie można było wiedzieć co się stanie — gdy za wrotami światło się pokazało, stąpanie zbliżyło, drągi i zapory, któremi była zawalona furta, zaczęto hałasując odzierać.

Nikt się już nie odzywał, ani prosił. Po długiej i mozolnej robocie około wrót, z ciężkością się one roztwarły i sam stary Belina, poważny, otyły, silny, wzrostu wielkiego, z długą bladą twarzą mąż, lat średnich ukazał się w nich na mieczu oparty.

— Chodźcie wszyscy — rzekł chmurno — chodźcie, a nie mówcie nic, aż oczyma własnymi ujrzycie co się tu u nas dzieje.

Wstąpiła tedy pierwsza spieszenie Spytkowa, córkę za sobą wiodąc, i ledwie próg przeszedłszy padła na kolana, Bogu i gospodarzowi dziękując, który stał nie ruszywszy głową w myślach pograżony.

Wszedł potem Lasota, Toporezyk, Doliwowie i słudzy, którzy konie za sobą wiodli. Dwóch pacholców u wrót trzymało smolne pochodnie, gdy w pierwsze podworce wchodzili, a tuż za

niemi znowu furtę poczęto zabijać i umacniać jak była...

Belina milczący przodem idąc, prowadził — nawitanie czasu nie było.

Podwórza w grodzisku w istocie widok przedstawiały dziwny i straszny, litość mogący obudzić. Jak okiem zajrzeć, jednym pomostem, na gołąj ziemi, na słomie, w blocie leżeli ludzie tak ściśnięci, iż ścieżki pomiędzy nimi do przejścia nie było...

Naród to był wszelkiego stanu i wieku, matki z dziećmi na rękach, wyrostki tulące się przy kolanach starców, wojacy w poszarpanych pancierzach skórzanych, z których żelazne łuski się sypały — zgrzybiali mężowie bez okrycia głowy, z obnażonemi piersiami, napół nadzy.

Kto ledz nie mógł, siedział sparty o częstokół, o ścianę, o plecy sąsiada, o nogi jego. Niektórzy ze znużenia, może z głodu, spali tak głęboko, że ich ani światło, ani głosy, ani potrącanie nogami przechodzących obudzić nie mogło. Drudzy, których sen nie brał, siedzieli popodpierani na rękach, z włosy rozpuszczonemi w nieładzie. Inni jeszcze zrywali się przestraszeni, nie wiedząc co się stało, myśląc, że nieprzyjaciel nadchodził, oszczepów szukając i krzyząc.

U szop, pod budynkami, w sieniach, wszędzie tę nawałę ludu nieszczęśliwego widać było. Twarze zbladłe, żółte, wynędzniałe dowodziły że i tu

ledwie czem było życie utrzymać. Nowi przybysze wpuszczeni w ten tłok, musieli sobie za Beliną drogę torować, wśród tych pokotów, nieraz następując leżącym na ręce i nogi. Belina więc naprawdę mógł tylko ukazać co się u niego działo, aby się uniewinnić, że przybyłych zrazu wpuścić nie chciał.

Przez szopę i drugie wrota, weszli w wewnętrzne podwórze, gdzie stał dworzec. Znaleźli w nim kilka rozbitych namiotów i poklecone z chrustu chizyny — ale i tu tłok był też niezmierny, wszystkie kąty zapełnione ludźmi, końmi, bydłem i owcami. Trzody musiano schronić pod szopy a dozorować, aby zgłodniaли ludzie, jak to się już tafiało, nocami nie zabijali potajemnie dla odżywienia się.

Tu pod namiotami chroniło się co było przedniejszego z rycerstwa i ziemian. Niewiasty ich z żoną Beliny, dzieci i co słabsze pod dachami mieszkało.

Stary gospodarz z posępną twarzą wwiódł ich naprzód na dół do wielkiej świetlicy, gdzie za lepszych czasów izba była gościnna i stołowa. — Gmach to był długi, na słupach dębowych oparty, w którym oprócz stołów, ław i ogniska ogromnego kamieniem obłożonego, nie więcej nie było. Ściany okrywały od góry do dołu porozwieszane odzienie i zbroje tak, że ich nawet widać nie było. Tu też mostem ludzie leżeli na ziemi, na

ławach, na stołach, pootulani w płaszcze i opończe, niektórzy ledwie nie w kominie samym, na którego skraju kilku spało razem ściśniętych.

— Patrzajcież — rzekł odwracając się gospodarz — patrzajcie a nie winujcie mnie. Zdawna już niemamy nic oprócz trochy solonego mięsiwa, kaszy i mąki. Warzymy z niej polewkę, aby życie utrzymać.

Ręką na podłogę wskazał.

Potém, że już słowa zbytnie były, mruknął tylko.

— Mieście się sobie gdzie i jako możecie. — Niewiasty do moich zawiodę. Co Bóg da to da!

Leżący na podłodze, stołach i ławach, przebudzeni światłem i głosem, tu i owdzie, przecierając oczy podnosili głowy, przypatrywali się stojącym jeszcze przybyszom. Z kilku kątów odzywały się wołania.

— Lasota! Mszczuj! Wszebór!

Bohdasia Toporeczyka chwycił już był syn gospodarza, młody Belina, z którym na dworze królowej i królewicza byli w drużbie serdecznój — chwycił go i ścisnął wołając.

— Nie wiń nas bracie, nie wiń, a patrz.

Stary Lasota, któremu sił nie starczyło, nie pytając i nie czekając, jak stał, miejsca trochę opatrzywszy, padł między leżących, głową komuś na nogi. Ten się nawet nie ruszył, ległszy starzec dysząc począł a jęczeć.

Ci co się poprzebudzali, radzi byli miejsce zrobić przybyszom — zsuwali się jako mogli. Więc choć w ciasnocie i zadusze, na pierwszą noc przypadł kto gdzie mógł, a młody Tomko Belina, umieściwszy Bohdasia w kącie, aby mu tam było wygodniej, sam poszedł na straż.

Zaledwie światło zagasło, pospali się znowu wszyscy, a kto nie usnął, dyszał cicho, aby drugich nie budzić.

Sobek i Dębiec, w pierwszym podwórzu razem z końmi zostać musieli. Tak się skończyła owa wędrówka niebezpieczeństw pełna, szczęśliwiej niż by się kto mógł spodziewać.

Nazajutrz rano, ledwie świt, ruszać się poczęli niektórzy i wychodzić z zaduchy, na wały, gdzie już i lud wszystek rozbudzony słychać było gwarzący, płaczące dzieci, nucące niewiasty, spierających się ludzi, wrzawę niemalą dokoła.

Obraz ten po dniu prawie straszniejszym był niż nocą, która nie dawała lica ludzkiego dopatrzeć, a snem ból skrepowała. Teraz się to wszystko rozbudzone poruszało i w słowach a jękach skarżyło na niedolę swoją. Matkom, co dzieci przy piersiach miały, pokarmu brakło, kilkoro niemowląt poumieralo nocą z chłodu i głodu. Zawodziły z płaczem wielkim niewiasty, obstępując żółtkę i zsiniałe zwłoki. Jęczeli chorzy, wołali o pokarm głodni, a co żwawszego było, wodę nosiło, niemocnym służyło.

Starszyzna powyznaczana przez Belinę, z kijami chodziła czyniąc porządek i nakazując milczenie. Żadna noc tu nie przeszła, żeby kilku ofiar nie wzięła. I téj téż, ludzi starszych co chorzy byli, dzieci kilkoro umarło.

Krzątano się około pogrzebów, których na gródku nie było gdzie sprawić. Musiano furte odmykać i ludzie z łopatami szli, niosąc zwłoki do blizkiego lasu, aby je tam pogrzebać. A spieszyć było trzeba i oglądać się, żeby czatująca czeru nie napadła.

To był pierwszy widok, który oczy przybyłych uderzył, gdy zrana wyszli, aby się z wałów rozpatrzeć do koła. Nim z nich zeszli, wołano na mszę świętą w drugie podwórze, gdzie na górnym ganku, codzień rano o. Benedyktyn Gedeon, człowiek wielce świątobliwy, ocalony z Trzemeszeńskiego klasztoru odprawiał ją, aby ducha i męztwa nieszczęśliwym dodawał.

On tu jeden, wśród téj strasznej powodzi i zniszczenia, gdy wszyscy o miłosierdziu Bożém zwątpili, rozpaczy się poddając — spokojnym umysłem swym odwagę umiał natchnąć i nadzieję. Ażeby ów mnogi lud mógł się modlić w czasie świętej ofiary — na górnym pomoście ustawiono ołtarz, który zdala widać było. Kto chciał, ten i z drugiego podworea przez wrota szerokie kapłana mógł widzieć i modlić się z nim razem.

Widok był piękny choć smutny, gdy co żyło cisnąć się poczęło, mężczyźni i niewiasty, aby się modlić do tego Boga, w którym jednym ratunku nadzieję pokładano.

Cicho się stało w podwórcach, tylko płacz niewiast i westchnienia przerywały milczenie. Było ich tu wiele osieroconych jak Spytkowa i jej córka, których mężowie, ojcowie i bracia poginęli w walkach, zablakali się bez wieści. Większa ich część w białych zasłonach, czepcach i namitkach siedziała, stała, klęczała na uboczu, tak, że twarze ich dojrzeć nie było można. A że ścisk ludu był wielki, z rozkazu o. Gedeona osobno ustawiona była pleć biała — oddzielnie mężczyźni.

Wszyscy prawie ci zbiegowie, choć jak Lasota, nigdy się do najmajętniejszych liczyli — teraz odzieży całej nie mieli, stali w porwanych oponczach, w siermięgach pożyczanych, w kaftanach zabłoconych, jak kto przyszedł, w łachmanach prawie.

Nad starym Lasotą, który pokaleczony był, a nie prócz porąbanego kaftana i poprutego pancerza nie miał, ulitowawszy się Belina, nazajutrz zrana przyniósł mu szmaty do poobwiązywania ran i oponczę dostatnią. Pancierz rzucić musiano w ką, a kaftan też krwią pobroczone, na nie się nie zdał. Sobek, który i do tego sprawny był, pobnywał mu i opatrzył rany. Tak samo Tomko Belina przydział Toporezyka, którego dawna

odzież od wilgoci się popadała i niemal na nim pogniła. Ale Bohdaś tego dnia wstać o swęj sile nie mógł i gdy przyszła godzina roznoszenia strawy, musiano mu ją przynieść do tego kąta, w którym leżał.

Strawa to była licha. Chleba już oddawna piec nie mogli, wszyscy więc zarówno, mężowie i niewiasty i dzieci obchodzili się polewką z mąki, rzadko mięsa kawalkiem lub trochę tłustości okraszoną.

Nikt się na głód uskarżać nie śmiał, troszczono się tylko, czy na tyle głów stanie długo strawy, nim się rzeczy na lepsze obróca. Stary Belina sam w zasięki i bodnie codzien zaglądał, oczyma je mierząc, na jak długo w nich życia było.

Chociaż czerń która oblegała gródek, ustąpiła od niego, wiedziano że to pokój był nie trwały, że na głód rachowano, co poddać się przymusi.

Nieraz téż już tu mowa była, czy nie isęby przebojem za Wisłę. Lecz tam trzeba się było albo poddać Masławowi, albo z nim do walki wystąpić. Znaczniejsza część, albo raczej wszystkie rycerstwo zamknięte na Olszowém Horodyszczu, brzydzilo się Masławem i pogaństwem, nawet ocalenia nie chcąc szukać u niego.

Radzono codzien i nie uradzić nie umiano, a gdy spory i rozprawy kończyły się, o. Gedeon zamykał je, jednemi zawsze słowy.

— Módlmy się, w Bogu ufność miejmy, Bóg pomoże!

Tylko młodość w takim ucisku szczęśliwą jest, że na chwilę o niem zapomnieć może. Któżby się domyślił, że nazajutrz rano, pierwszą troską obu Doliwów było doszedzić, gdzie się niebieskie oczy Kasi podziały. Wstali natychmiast zabiegając i kręcąc się a dowiadując, gdzie córka lub matka być mogła.

Już w drodze z powodu dziewczęcia tak się z sobą jakoś, nie mówiąc o co poważnili, iż unikali nawet rozmowy, i jeden od drugiego głowę odwracał. Obu piękne dziewczę z myśli wyjść nie mogło. Wszebór sobie panią matkę tak pozyskał w ciągu drogi, że już jój dla siebie pewnym był, ale nie obrachował tego, że żwawa i raźna jeszcze niewiasta, nie dla córki, a dla siebie samój na niego okiem rzuciła. We wdowieńskim stanie, bez opieki, mówiła sobie — trudno pozostać było... Chciała niby nie sobie męża, a dziewczynie dać ojca i dla niój się poświęcić.

Wszeborowi co innego się śniło.

Mszczuj, który czasu podróży nie mógł się zbliżyć do trwożliwój Kasi, dlatego może goręcój się jeszcze w niój rozmiłował. Myśleli teraz oba ino o tém, jakby dalej serdeczne zamysły prowadzić.

W obu ich jedna krew była gorąca, lecz jak się to w rodzinach zdarza, inaczój ona u Wszebora, inaczój w Mszczuju grała. Zapaleczywi oba,

każdy po swojemu do celu zmierzali. Na łowach Wszebór się rad zasadzał na zwierza, a Mszczuj gonił i ubijał, pierwszy dzień cały gotów był strawić w szalasię na przesmyku, byle się zwierza doczekał, drugi wolał ścigać i walczyć. Tak samo i we wszystkiem czynili. Wszebór mleczkiem a zręcznością, Mszczuj gorącym sercem i gotową zawsze dłonią.

Na Olszowém Horodyszczu, w pośród tego natłoku, gdzie mężczyźni musieli być oddzieleni osobno, trudno było kogo zobaczyć i dostąpić do niewiast. Trzymały się one osobno w kilku izbach, pod opieką Belinowój, mało która i wyjrzeć śmiała, dla samego sromu, bo niebyło kątką, zkądby oczów bez miary nie patrzyło i uszu nie podsłuchiwało.

Więc choć oba rozmiłowani błędzili po podwórzach, głowy zadzierając, jakby wróblów pod strzechą upatrywali, nie postrzegli nigdzie tych, za któremi gonili. A tu im i trzeci przybył, młody Belina, który zrana do leżącego Toporeczyka przyszedłszy, gorąco się go jał rozpytywać o Kasię Spytkównę, bo mu się srodze najrzane liczko podobalo. Widział je i Toporeczyk zdala, ale ten zbolaty był tak i strapiony, że go nawet krasa niewieścia nie mogła rozbudzić.

— Daj ty mi spokój z dziewczyną! — odparł spytany — ani znam, ani wiem co są za niewiasty. Spotkałem je na drodze, gdym ledwo żyw był, starsza mi pić dała, za co niech jej Bóg stokrotnie

placi. Pytaj o to Doliwów, jeżeli co powiedziec zechcą, bo mi się widzi, że oni oba zęby ostrzą na owego wyrostka. Mnie to nie w głowie.

— Dzieweczka jak malina! — rzekł Belina.

— Choćby była jak anioł, co ich w kościołach stawia — nie pora o dziewczętach myśleć, gdy na gardło nieprzyjaciel następuje — rzekł Toporeczyk.

Rozśmiał się Belina i zamilkł, ale znać mu grzeszna myśl z głowy nie wyleciała, bo gdy Doliwowie, napróżno się nabłdziwszy po dziedzińcach, jeden za drugim powrócili do izby, do nich przystał pytając co były za niewiasty. Ci też w słowach skąpi, nie wiele mu powiedziec chcieli. Kolnęło ich to, że już i więcej ktoś począł myśleć o dziewczęciu.

Tak wśród tych chmur, jak słońeczko jasne, kraśna twarzyćka młodym oczom na pociechę i utrapienie zaświeciła. — Młodość taką jest, że i w największym ucisku, serce jój bije, głowa marzy. Starzy rozprawiali o obronie, o chlebie, tamtym niebieskie oczy o niczem myśleć nie dały.

Gospodarskiemu synowi Tomkowi Belinie, który do matki i niewiast przy niej będących, przystęp miał łatwiejszy, prędzej się trafić mogło najrzeć, choć zdała piękne dziewczę. Doliwowie o zbliżeniu się do niej i myśleć nie mogli.

Z południa jakoś, starsza pani Spytkowa, sama wyszła się dowiedzieć o tego, co jój w podróży

tak dobrze posługiwał, a tak pilno słuchał. Zobaczywszy ją zdala, oba się wnet ku niej rzucili.— Pamiętna przyjaźni Wszebora wdowa, pod chustą mu wyniosła coś, ze swojego zapasu podróznego, aby podkarmić opiekuna, a zobaczywszy brata z nim, datek swój na dwu rozdzieliła.

Poczęli się oba pytać o nią i córkę.

— Bogu dziękować — wzdychając odparła pani Marta — żeśmy się tu dostali. Przynajmniej między ludźmi jesteśmy, a co drugim to i nam! Tu i ginąć byłoby raźniej. Obieśmy zdrowe, choć długo tę drogę i nasze nieszczęście czuć będziemy.

Tak rozpoczynając Spytkowa, choć na niedolę się skarżyła, twarzą wesołą zwróciła się do Wszebora, białe ząbki wyszczerzywszy.

I już się jej usta nie zamknęły, tyle znów do opowiadania miała, czego Mszczuj jeszcze nie słyszał, o dostatkach swych dawnych, o mieniu i wielmożności, o miłości nieboszczyka dla siebie, o wszystkiém co przeżyła. Frasowała się już teraz tylko, jakby się na Ruś do swoich dostać mogła, gdzie była pewną opieki, pomocy i rychłego nawet zamążpójścia, bo tam za nią nie jeden wzdychał.

Trzymała ich tak obu długo stojących przed sobą w milczeniu, to ku jednemu, to ku drugiemu czarnemi oczyma poglądając, to śmiejąc się, to łzy ocierając, to ręce łamiąc, to niemi rzucając i wywijając, bo była niewiasta żywa i mówna, a wiedziała pewnie, że się mężczyznom podobać

może. Drudzy też, obcy, schodzili się słuchać i patrzeć, a im więcej ich było, tém się weselszą zdawała, tak, że gdy żegnać się przyszło i do córki wracać, lzy już zupełnie poosychały.

IV.

Jesiennego poranku dwóch ludzi w proste siermięgi przyodzianych, na lichych szkapkach, których siedzenie z podesłanego, grubego sukna się składało, podjeżdżali zwolna ku dosyć szeroko rozlanéj Wiśle, która od jesiennych slot wezbrała.

Zdala już na wysoko podniesionym brzegu jéj widać było zameczysko i szare miasto u stóp jego rozłożone.

W mieście i okolicy ludu i ruchu dosyć było. Około zameczyska, opasanego wałami, z poza których malutki kościołek bez krzyża, niegdyś Benedyktyński, wyglądał (bo ich tu Bolesław w roku 1015 osadził) — roilo się jakby wojsko jakie, kupami poustawiane. Gdzieniedzie ponad niemi dostrzedz było można Stanice na wysokich żerdziach powbijane w ziemię, i chorągwie czerwone.

Dwaj jadący spojrzeli na siebie. Jeden z nich opalony, pomarszczony, zestarzały, choć jeszcze żyw, z oczyma bystro patrzącemi — był to bartnik Sobek, wierny Spytkowej służa, drugi okazańszy, młodszy, mimo prostej siermięgi do wojaka podobniejszy niż do kmiecia lub prostego osadnika, był Wszebór Doliwa. Wysłano ich obu na zwiady z Olszowego Horodyszcza, choćby do Masława dotrzeć przyszło, aby wiedzieć co tuszyć i jak sobie radzić.

Choć nie bardzo chętnie, wazył się na to Doliwa, bo nie chciało mu się od Spytkowej i jej córki, ale nastali nań wszyscy, gdyż się sam chlubił z tego, iż na dworze Mieszka komornikiem był razem z Masławem, i najlepszym jego powiernikiem. Dziś ten Masław niepoczciwie urosłszy, z lichego pacholika, kneziem się plockim nazywać kazał i o zawojowaniu całego spustoszonego kraju zamyślał.

Trzeba było wiedzieć zamkniętym na grodku jak rzeczy stoją i czy się godzi od czerni życie ratując, na Masława rachować, Wszeborowi nie się stać nie mogło, a na przebiegłość swą wiele liczył.

Sobek, jako prosty człek, niczego się tu nie lękał. Wolalby był Doliwa nie stykać się z Masławem, ale mus był wielki. Na horodyszczu prędko żywności zabraknąć mogło, dostać się w ręce czerni, jedno znaczyło co głowę na pień położyć,

mnsiano więc probować, ażali się ocaleć lub okupić nieda.

Dodano za przewodnika Doliwie starego bartnika, który wszędzie sobie radę dać umiał, nie zawiódł się na nim i w tej drodze, gdy ciągle wymijać przyszło gromady zbrojne, osad unikać, nocami więcej niż dniami się przekradać. Sobek tak go umiał prowadzić, iż z nikim się nie spotkawszy, nad ów brzeg Wisły przybyli cało i bezpiecznie.

Wszebór, który zrazu bardzo zuchwale prawił o spotkaniu się z Masławem, a w przyjaźni jego wielce był ufny, teraz dopiero, gdy ujrzal przed sobą miasto i chwila przyszła stanąć przed nim, zadumał się mocno.

Wątpliwość się w nim zrodziła jak go przyjmie i czy na dawną drużbę zechce pamiętać? Od czasu, gdy się na dworze widzieli, dużo się rzeczy zmieniło, a z tego co o Masławie prawiono, trudno było dobrze wróżyć. Ale i wracać nie była pora.

Sobek mu w oczy patrzył milczący, i ku rzece wskazywał.

Wszebór rozmyślał teraz, czyby nie lepiej już było, poznać się nie dając, zdala wszystko podpatrzeć, a Masława uniknąć. Ludu było dosyć, w który się wmieszać mogli niepostrzeżeni. Co miał uczynić, sam niewiedział. Jechali nie spiesząc wcale, a Doliwa trochę konia powstrzymał. Mówlii wprzód z Sobkiem, któremu się oświadczał,

że wprost do Masława się uda, teraz mu się to niebezpiecznym i niełacnym zdawało.

— Ej! słuchajcie! — rzekł z cicha do towarzysza Wszebór — czyby nie lepiej było, lichu nie leżeć w oczy, a zdala mu się przypatrzeć! kto tu nas pozna?

— Jak postanowicie, tak będzie — odparł Sobek. — Cóż ja wiem?

— Jak się wam zda? — spytał Doliwa.

Zamiast odpowiedzi, Sobek ręką ku Wiśle ukazał. Stali w miejscu odkrytym, na łące.

Ztąd jak na dłoni widać było niedaleko na rzece związane dwie wielkie łodzie, wiosłami ku brzegowi, na którym stali pędzone.

W łodziach pełno było koni i ludzi.

Zdala poznał Wszebór, iż zbrojni byli i rycerscy. A niepośledni być musieli, bo na nich zbroje jakieś błyszcząły, a na głowie jeden z nich miał czub kraśny, na ramionach płaszcz bramowany i oręża dużo lśniącego przy sobie. Za nim stojący chłopak trzymał ptaka na ręku, drugi też krogulca podlatującego ściągając ku sobie, inny na sznurku psy wiódł.

Twarzy jeszcze rozeznąć było trudno.

Mężczyzna z czubem na czapce przodem stał, za nim poniżej kilku, jakby dwór i służba. Jechali widać nad brzeg Wiślany na łowy z ptaki.

Ktoby to mógł być tam, gdzie swobodnie my-

śliwstwem się zabawiać jeden tylko człowiek miał wolność?

Odgadnąć nie było trudno.

Traf więc szczęśliwy czy zły, właśnie w chwili gdy ważył i rozmyślał, niósł Wszeborowi gotowe rozwiązanie.

Uniknąć spotkania było niepodobna, uciekać niebezpiecznie, musiał czoło stawić odważnie.

Tak sobie w duchu rzekł Doliwa.

Konia niewstrzymując podjeżdżał spokojnie, a tymczasem i czółna spojone do brzegu już dobiły i coraz wyraźniej widać było tych, co się na nich przeprawiali.

Poznał Wszebór Masława, choć im się teraz z owego dworaka, z chłopięcia swawolnego a zuchwalego wielce odmienił. Wyglądał, albo raczej chciał mieć pańską postać, patrzył tak, jak mu po książęcemu trzeba było. Wszebór i towarzysz jego, nędznie poodziewani, ledwie na siebie oczy zwracali — rozglądał się Masław po okolicy, wzrok wodząc dumny. Obie ręce miał w boki wciśnięte, głowę do góry i nogę jedną na kraju czółna, jakby mu wyskoczyć pilno było.

Mężczyzna był dorodny bardzo i zręczny, choć jak od siekiery wyciosany. Kmieca w nim krew przez powłokę pańską przeglądała. Twarz rumiana, pospolita, zaogniona, oczy małe, bystre, usta czerwone i wydęte, mała bródka rudawa, nic w sobie kniaziowskiego nie miały; ale paro-

bek był tęgi, butny, a że mu się szczęściło, zachwały znać i noszący się wysoko. Z góry patrzył na ludzi, brwi ruchawe ciągle mu się marszczyły, milcząc nawet, żuć się zdawał rozkazy, aby na chwilę nie znijsć z tego stopnia, na który mu się wedrzeć udało. Mężną i przebiegłą zarazem znać w nim było naturę, co się na wszystko ważyła.

Gdy się czółno do brzegu, a jezdzy ku niemu też zbliżyli, zrazu na siermięgi popatrzywszy, chciał Masław pogardliwie oczy odwrócić, ale go coś w twarzy Wszebora uderzyło. Nie poznał go zrazu, brwi nachmurzywszy, srogo się począł wpatrywać. W tém Wszebor zwolna szłyka uchylił.

Było to w chwili, gdy Masław odziany nie jak na łowy, ale jakby miał posłów na dworze przyjmować, w pasie rycerskim, którego teraz nigdy nie zrzucał — miał już na ląd wysiadać.

Za nim kilku jego przybocznych oisnęło się, równie niedorzecznie jak on postrojonych w czuby, pasy i płaszcze krasne. Wszeborowi by się było na śmiech zebrało, na widok téj okazałości w polu straconej, gdyby nie musiał myśleć co z sobą pocznie.

W tém drgnął Masław i zdawało się jakby chciał do ludzi się zwracając, dać rozkaz pochwylenia Wszebora, gdy ten, pozdrawiając go, półgłosem się odezwał.

— Do waszój miłości jadę właśnie, więc pozwolicie pozdrowić!

Nie wątpił już Masław, że dawnego znajomego miał przed sobą. Zawahał się nowo stworzony przez się kneź, jak go ma przyjąć. Widać to było z twarzy. Myślał chwilę, zaciął usta, postąpił kroków parę, przypatrując się Wszeborowi. Niepewien był w jakiej myśli przybywa, czego chce.

Mierzył go tak niedowierzająco oczyma, gdy Doliwa, dorozumiewając się obawy, siermięgę rozpiął i pokazał, że krom małego mieczyka, nic nie miał. Toporek został był przy koniu, z którego zsiadłszy, oddał go do trzymania Sobkowi.

— Cóż was tu prowadzi? zkąd? czego chcecie? — przemówił wreszcie Masław głosem, któremu starał się nadać wyraz groźny i srogi. — Mów, a rażno, u mnie czasu niema!

Mówiąc, nastąpił blisko na Wszebora, niby mu okazując, że się go nie lęka, a gdy ten nie zaraz się odezwał, począł iść od swych ludzi, ciągnąc go za sobą.

— Miłościwy panie — począł Wszebór — nie tak to łatwo w dwóch słowach powiedzieć z czém człowiek jedzie. Wy wiecie co się dzieje dziś, wy tylko możecie powiedzieć, co z nami będzie jutro. Do was trzeba iść pytać co robić!

Masławowi pochlebilo widocznie, że mu przyznano panowanie nad przyszłością. Twarzy mężczyki i energicznój, samój przez się, wyrażającój

siłę zwierzęcą — nadał wnet większy jeszcze wyraz potęgi i dumy i rzekł bez gniewu.

— Co robić? kto chce głowę ocalić, służyć mi musi! Siły tu niema nikt i nie będzie mieć tylko ja. Jutro wszystko się z niemieckiego, z czeskiego jarzma wykuje — a ja będę panować!

To mówiąc odwrócił się przypatrzeć, jakie wyrazy czyniły wrażenie, twarz jego wykrzywiła się śmiechem dzikim, wymuszonym, fałszywym.

Wszebor milczał spuściwszy głowę, Masław uderzył ręką po mieczu, który wisiał u pasa.

— Pytają się jakim ja prawem będę panować! — dodał. — Ot prawo moje! Kto ma siłę ten ma panowanie, a kto ma rozum, ten ma siłę — a kto rozumu niema, ten choćby mu siłę dano, to ją straci, tak jak oni!! (Wskazał ręką ku zachodowi). Niedołężne plemię, zniemczałe, trzeba było precz za drzwi wyrzucić, starą swobodę powrócić kmieciom i wiarę dawną. Nam swoim życiem żyć, nie cudzem. Niepotrzebujemy cudzych Bogów ani cudzych panów. Piasty nas sprzedawały cesarzom i papieżom. Z niemieckich matek, poniemczałe rodziły się dzieci — pokurcze.

Każmirz, którego matka na mniszkę się zdała, niech u wuja w Kolnie śpiewa w chórze — to jego miejsce, a nie tu nam panować. My nie mnichy.

Mówiąc tak szedł, a coraz na Doliwę spoglądał i rozgrzewał się własnymi wyrazy.

— Ja mam w ręku Mazury moje, ze mną pój-
dą Prusaki i Lietuwiszki, wszyscy co do swojej
starzej wiary są przywiązani. Nas éma, a was garść,
wkrótce i nie nie zostanie. Ziemie bezpańskie we-
źmie kto ma siłę — ja siłę mam! mam!

Z coraz większą gorączką kończył, spogląda-
jąc wciąż na Wszebora. Nie doczekawszy się za-
danej odpowiedzi, stanął i natarczywie zapytał.

— Gadaj ty mi zaraz! kto cię wysłał?

Doliwa miał czas wobec niebezpieczeństwa
męztwo i zimną krew odzyskać. Ruszył ramionami
obojętnie.

— Jestże u nas komu wysyłać! — rzekł po-
woli. — Ze starego rycerstwa, ziemian i wład-
ków ledwie gdzie który ocalał, wilkom na paszę.
Nas dwóch braci uratowaliśmy żywot od czechów
i czerni.

Znajdzie się może kilku tulających się po la-
sach. Któż mnie miał posyłać? Przecież dawniej
byliście dla mnie drubem, dziś możecie przyjąć
choć za sługę! Moim żywotem nie wiele się po-
żywiecie, a zdałbym się może.

Masław się zadumał patrząc. Przemowa była
zręczna, pochlebiała mu.

— O! ja was znam! — rzekł szydersko. —
Byleście mnie mogli osaczyć, oddalibyście w ręce
Kazmirzowi, albo nowemu jakiemu Bezprymowi.
Jeszcze się tam takich kilku po Niemczech włóczy.

Z was coście się pochrzcili, co inne czasy pamiętacie, pociechy nie będzie.

— A wyż to chrzczeni nie byliście? — zapytał śmiało Wszebor.

Zarumienił się chwilowym gniewem Masław, spojrzął w tył na swoich, czy niesłyszeli co Doliwa powiedział. Ci stali zdala, dojść ich to nie mogło. Zmilczał namyślając się.

— Słuchaj Doliwo — przerywając milczenie i biorąc się w boki odezwał kilka kroków uszedłszy. — Prawda, byłem z tobą na tym psim dworze druhem — chcę ci być dobrym panem, ale głowy pilnuj na karku, bo ona tobie potrzebniejsza niż mnie. Ciebie jednego wezmę, brata nie chcę, nikogo innego — niech ich czerń wytlucze do nogi. Ja sobie władyków moich z kmieci porobię, co mi wdzięczni będą, a obawiać się ich nie potrzebuję. Chcesz mi służyć? wezmę cię.

Wszebor skłonił się, podniósł głowę i w oczy mu spojrzal śmiało.

— Dla czegożbym ci służyć nie miał, z głodu mrąc i przytulku nie mając? Cóż będzie z bratem?

— Gdzieżes ty go zostawił? — spytał Masław.

— W lesie, na polanie, dwa dni drogi ztąd, zachorzał.

— Niech go tam wilcy zjedzą! — śmiejąc się i klepiąc po ramieniu Wszebora — odparł nowy kneź — ty u mnie zostaniesz, więcój ja nikogo znać nie chcę.

Wszebor zmilczał, nie nalegając. Mówiąc o bracie, chciał sobie do ujścia zostawić pozór, boby po niego niby mógł od Masława się wyprawić. Spodziewał się w inny sposób z pomocą Sobka się wymknąć.

Masław, jakby mu niedowierzał, ciągle niespokojnymi oczyma go badał, ale twarz mu się rozjaśniała.

— Nieźle się to nadaje — odezwał się — bo mnie trzeba dwór sobie urządzić. Ochmistrem cię zrobię. Te moje chłopiska, do wszystkiego dobre, ale obyczaj pańskiego i królewskiego nie znają nic. Ja dwór muszę mieć, jak wszyscy na świecie króle i kneziowie. Ty mi ludzi dobierzesz i nauczysz. Chcę by u mnie było tak jak bywało za starego Mieszka i Bolka.

Wszebór godząc się pozornie z tą myślą, nie okazując wstrętu podchwycił poufnie.

— Pewnie! pewnie! ano nielacno to przyjdzie, póki się ludzi nie nauczy.

— Łacno! — zaprzeczył Masław, brwi marszcząc — ja prędko uczyć umiem. Grozy trzeba, wszystko będzie.

I poklepał go znów po ramieniu.

— Biorę cię — powtórzył — pamiętaj, ze mnie dobry pan, szcudroblivy ale groźny.

Na tém skończyła się rozmowa, zwrócił się ku swojemu orszakowi opodal stojącemu i krzyknął:

— Puścić psy sokolnicze! Trafi się co — rozkapturzyć sokoły.

Dał znak, sam zwolna postępując za ludźmi z Wszeborem, który się za nim trzymał. Posłyszawszy kroki jego za sobą, kneź niby się namyślił.

— Zaczekajcie przy łodziach, wróćcie razem ze mną!

Posłuszny zatrzymał się Doliwa, a psy, sokoły, pachołęta i Masław z dworem, pociągnęli brzegiem rzeki.

Doliwa wrócił do Sobka, który z końmi stał na uboczu. Ocalić głowy i zbliżyć się przypatrzeć Masławowi inaczej nie mógł, tylko przyjmując co mu nowy kneź tak łaskawie ofiarować raczył.

Myśliwi odciągali, a Wszebór się do starego bartnika zbliżył, który rad był mu z oczów wyczytać, co przynosił z sobą.

— Jedziemy na dwór — rzekł cicho Doliwa. — W dobrą jeszcze chwilę przyszedł, że głowę mam całą. Zostaniemy tu do czasu, ano i wy i konie dobrze by zawsze były pogotowiu, aby się ztąd wyrwać, gdy przyjdzie pora.

Sobek głową kręcił.

— Wyrwać się ztąd niebędzie trudno — odpowiedział. — Nie pilnują się oni tak bardzo, są bezpieczni. Butny pan! butny! dodał cicho bartnik.

Siedli tedy spoczywać, a konie paść się poczęły. Niedługo jednak Masław łowami się zaba-

wiał — ludziom kazawszy z sokołami się przejść, sam powrócił, oczyma Wszebora szukając.

Wstał on, podchodząc ku niemu.

Zdało się, że nowy panek potrzebował mówić o sobie z kim innym, jak ta poprzebierana czerń, co go otaczała, Wszebór go ciągnął ku sobie.

Zbliżył się do niego, już zdala poczynając. Wskazywał na miasto, które ztąd na wzgórzu widać było.

— To będzie mój Poznań! — rzekł z uśmiechem. — Rozumiesz! Ztąd ja nad obiema brzegami Wisły panować będę.

I rękę wyciągnawszy, zatoczył nią dokoła.

— Prusaków i Letuwisków przyłączę. Czechów won przegnamy i pobijemy, Niemców i nogi nie puścim za Łabę. Dalej ich wyżeniem! Wszystko co chrześcian nienawidzi pójdzie ze mną.

Oglądał się wciąż na Wszebora, jakby pochwały i potwierdzenia pożądał.

— Co ty na to?

— Ha! no! byleście wojsko mieli!

— Mam i mieć będę i wyćwiczyć potrafię — gwałtownie dodał Masław. — Ja sam choć dworakiem byłem, ale wojakiem razem byłem i jestem. Prusaki naród dzielny. Ci to sami co Wojtaszka zabili, co go Bolko wykupił i w Gnieźnie położył, a teraz go sobie Czechy wyniosły! Ci sami co się staremu Bolkowi niedali. No — a ja z niemi, brat, swat!

Począł się śmiać, zacierając ręce.

— Co ty na to? he? Masław też nie głupi! Zobaczysz sam, dziś tu od nich przyjdą posłowie. A wiesz czemu ja to winien? oto temu, że poga-
ninem jestem i żem powywracał krzyże. Wszystek
lud ze mną.

Milczenie Wszebora naprzykszyło mu się znać,
bo kilka razy zapytał go. Cóż ty na to!

— A! szczęścia macie wiele! to cały świat
wie! — przebąknął Doliwa.

— Na zamku w Płocku — ciągnął dalej Ma-
sław ręką wskazując — siedzieli Benedyktyny,
niema ich i nogi. Z kościoła zrobilem chram, tak
jak oni z chramów robili kościoły. Guślarze w rę-
ce plaskają, do nóg mi padają: stare stanice po-
podnosili ludzie, wołają: Łado! Ot siła moja!

— No — co wy na to? co? — powtórzył
śmiejąc się.

— Dziwię się tylko — odparł Doliwa powoli —
a powiem wam, ażebyście dobrze obliczyli siły
przeciw chrześcianom. Dużo was, tamtych też
sporo. Pochlebiać wam nie będę. Na Rusi krzyże
stoją, Czechy ochrzczone, Uhry też, Niemcy wszyst-
kie. Jest tego siła.

Masław głową dał znak potakujący, stanął,
obejrzał się dokoła, i przystąpiwszy do Wszebora
oczy w niego wlepił, szepcąc cicho.

— Nie rozumiesz ty nie! Który Bóg mocniejszy
będzie, temu się i ja pokłonię. A mnie co? Teraz

stara wiara górą, jak jutro wypadnie, czy ja wiem? Kneziowie i królowie wszak ci się chrzczą kiedy przyjdzie na nich godzina. Będę i ja takim, jakim zechcę, aby panować; a teraz — teraz, tak musi być jak jest. Z krzyżem precz i z niemcem precz co go przyniósł. Rozumiesz?

Zaśmiał się ściskając usta Masław, oczy mu się zaiskrzyły. Niepodoobało mu się to w nowym słudze, że się mu ani dziwił ani pooblebiał, ni potakiwał nawet.

— Ty czlecze jakiś — zawołał, głos podniósłszy — ty może myślisz, że mi się śni moja siła? No, to ja ci w żywe oczy pokażę. Zobacysz i uwierzysz. Popatrzał wdał na psy i sokoły. Dwa psy puszczone wietrzyły, chodząc po moczarze, ale czas jesienny niebył dobry do łowów, ani czapli, ani żadnego ptaka nie spotkały dotąd. — Masław na bliższego sługę skinął.

— Hej, Didko! przewietrzcie mi sokoły i powracajcie sami z niemi. Huba ze mną pojedzie, niema tu stać czego.

Ręką wskazał na czółna, ku którym iść począł żywo.

Sobek oczyma Wszeborowi dał znać, aby się o niego wcale nie troszczył, szedł więc Doliwa za kneziem — Masławowi jakby teraz pilno było powracać, szybkim krokiem ku przewozowi dążył, wskoczył do łodzi, konia dla siebie i Huby zabrać kazawszy.

W tém popatrział na Wszebora nędznie odzianego, który stał przed nim, rozkazów oczekując.

— Ty tak w téj siermiedze ze mną iść nie możesz — zawołał — zostaniesz w czółnie. Pójdiesz osobno na zamek piechotą. Huba, gdy powrócim, ze skarbcza ci wydać każe odzież, jaka mojemu ochmistrzowi przystała.

Nie bój się — dodał z uśmiechem — i łańcuch będzie i wszystko! Mam ja tego podostatkiem. Chcę by ludzie na mój dwór patrząc, dziwili się, nie naśmiewali.

Skinął na Hubę i szepnął mu coś do ucha wskazując Wszebora. Łodzie tymczasem, do których pędzenia było kilku Mazurów z wiosłami i dragami, szybko poczęły rzekę przerzynać. Na głębinach wszyscy się do wiosel brali, na mieliżnach odpierano dragami. Ludzie pracowali żywo, nawzajem się napędzając, jakby czuli, że pan ich czekać nie lubi.

Masław stojąc w łodzi, na zamek spoglądał dumnie, nie mówił już nic, nadto mając słuchaczów, kilka razy tylko Wszeborowi ręką wskazał na gród, którego posiadaniem pysznił się i radował.

W istocie poważnie rozsiadało się zameczysko na wyniosłości brzegu, a na okopach mnogi lud widać było, który ku przybywającemu spoglądał. Gdy łódź do lądu przybiła i konie z niéj wyprowadzono, Masław skinieniem Doliwę pożegnawszy,

konia swojego, wspaniale przystrojonego dosiadł i z Hubą ku zamkowi pojechał, z głową podniesioną, ze spojrzaniem ostrem, z grozą na czole... Widać było z dołu, jak lud, zobaczywszy go się poruszał, a w chwilę potem na okopach głos się dał słyszeć ogromny — huczały okrzyki na powitanie.

Zadumany, posepny, powoli powlókł się za nim Wszebór. Przypominał sobie może, jak Masława tego, który teraz do takiej doszedł siły, widział małym i pokornym, wobec królowej, która mu wzgardę okazywała.

Dalżej idąc było też na co patrzeć, i Doliwa pilnie zwrócił oko na to, co Masława otaczało... Ludu było wszędzie mnogo, a choć już się sprzął w pulki i sotnie, otargany był nieco, strojem i twarzą jeszcze na pół dziki się wydawał. Uzbrojenie też jego różne było i nie u wszystkich równe. Starszyzny od pospolitego człeka trudno było rozeznąć. Samopas to wszystko stało, chodziło, krzyczało i ujadło się z sobą.

W podwórcach zamkowych stały beczki i kadzie z piwem, część na ziemi siedząc, jadła i biesiadowała, inni leżeli i odpoczywali.

Około dawnego kościółka benedyktynów stał tłum gęślarzy, wróżbitów, starych bab, czerni z lasów wybieglój.

We wnętrzu otwartej świątyni, gorzał już rozpalony ogień, zwijały się około niego białe po-

osłaniane niewiasty. Przed wywalonemi drzwiami, na dragach stały powbijane w ziemię stanice, po większej części na prędcie ociosane i nieforemne, wyobrażające potwory różne i niezgrabne o kilku głowach postacie.

Pomiędzy niemi, odkopany gdzieś z ziemi, wbity był słup kamienny z gruba ociosany, w którego kształtach domyśleć się raczej, niż poznać było można, bałwana o trzech czapkach, z rękami na piersiach, które miecz i korowaj trzymały.

Gęślarze posiadawszy na ziemi pod nim, nucili pobrzękując, a lud okalający przysłuchiwał się pieśni.

Przy dworcu pańskim drewnianym tłum stał u drzwi, kręciła się służba mnoga nowego księcia cudacko, pstro poodziewana.

Cheiano ich postroić wspaniale, a nie umiano, więc nawieszał każdy na siebie, co pochwycił, byle świeciło. Dziko to wyglądało. Na niewielu tylko znać było odzież połowiczną niemiecką, gdzieś na dworcu królewskim złupioną.

Kilku poważniejszych urzędników dworu, choć w sukniach i kożuchach drogich, choć w łańcuchach i przy pasach złocistych, poczesani i umyjni, na prostych pastuchów wyglądali. Ładu tam na tym dworze wprędce zebrany z łada czego nie było. Swary tu i owdzie powstawały nagle, wybuchala wrzawa, słychać było uderzenia kijów i szamotania się.

Popychali się jedni w tę, drudzy w przeciwną stronę kłóćąc, aż pałka im nakazała milczenie. Skomlenie i wycie psów, rżenie koni, oddalony gwar wojskowego tłumu, łączyły się z tém razem, tak, że stojącym u wrót rozmówić się po cichu było trudno, krzyczeli więc, a głosy ich wzmagały wrzawę.

Wszeborowi niełatwo się było precisnąć, nikt też nań ani spojrział, popychano go tylko, i niewiedział gdzie się obrócić, gdy wychodzący ze dworca Huba, postrzegł go, rozepchnął tłum i wnijsć za sobą kazał.

Wnet zawołano starego człeka i Doliwa w ręce jego się dostał. Wskazał mu Huba, by szedł za nim. W sieniach dworca także pełno było, choć się tu ciszej sprawowano. Przebywszy ciemne zakamarki i szyje, podwórko jedno, gdzie się czeladź krzątała, dostali się z przewodnikiem do na pół ciemnej izby. Małeńkie jej okienka, pozasuwane od wnętrza, ledwie cokolwiek światła wpuszczały przez szczeliny. Skład to był jakiś, czy skarbiec pański, od stropu do podłogi, po ścianach, na ziemi, na drągach od wyżek, wszędzie leżało, wisiało odzieży, zbroi, wszelakiego zapasu i lupu podostatkiem. Tu, co wojna dała i grabieże, składał Masław, a na zbiorowisku tém znać było świeże ślady pochodzenia.

Kupami leżała zdobycz wszelaka, każda z innego dworu, od innego pana, z wszelakiego świata,

wartości nierówniej, jedna do drugiej niepodobna. Ręce co ją zrzucały, nieumiały rozróżnić nawet, co więcej, a co mniej było warte. Najdroższe rzeczy obok lichych leżały, jedne z drugimi i na drugich, jak w szopie nawiezione zboże i siano.

— Hej! — zawołał stary, drzwi otwierając — zabierajcie co chcecie! Takie rozkazanie pańskie! Nie żałujcie! Rękami na kupy i pułki wskazywał.

— Hej! co dusza zapragnie! Widzicie, jest u nas w czym wybierać! I uśmiechnął się stary gładząc głowę.

Na policy osobno, leżały pozłociste i złote łańcuchy na kupie. Ku tym podszedł stary, jeden i drugi na rękę zważył, popatrzył i ciężki jeden łańcuch wybrawszy, chciał go już podać Wszebcrowi, gdy na nim przyschlłej krwi dostrzegł ślady, zaburczał coś pod nosem, ku drzwiom poszedł, gdzie stał kubek z wodą, zanurzył w nim i połą wycierać zaczął.

Ze wstrętem wziął się do odziewania Doliwa, ale mus był. Pomagał mu do tego ochoczo stary, ciągle powtarzając, aby sobie co najlepsze wybierał, a nie tracił czasu.

Szło mu o to, by rozkaz pański spełnił jak najlepiej.

— Ino spieszcie — mówił — jego miłość czekać nie lubi, a chcą was mieć przy stole. Wielki czas...

Z różnych kątów powywlekano, pas z mieczem, czapkę futrzaną, zwierchnią suknię bramowaną, słowem co było potrzeba, by Wszebór nowemu panu nie uczynił wstydu. Na ostatku przygotowany łańcuch, stary mu na szyję zarzucił i uśmiechnął się popatrzawszy, ku drzwiom go poprzedzając.

Ze skarbcza do izby stołowej znowu iść było potrzeba ciemnymi kątami. Wnijsie do niej zdala gwarem się zwiastowało. Niebył wielce wspaniałym stary dworzec płocki, okopcony wewnątrz od dymu, sprzęt miał prosty od siekiery wyciosany. Jak niegdyś od wieku był, tak i teraz pozostał ze stoły z grubych desek, z ławami ogromnymi, a mało co go przybrać umiano, skórą i sukniem powyscielawszy. W dalszych izbach podłóg nie było, tylko ubite toki, które liśmi posypywano, zimną słomą i jedliną.

W stołowej komorze, dosyć obszernej, ludu poodziewanego jak na święto dosyć było. Dla knezia siedzenie zgotowano na podwyższeniu, obwieszono sukniem czerwonym. Około niego, łacni do poznania, cisnęli się dziko wyglądający, zbrojni w topory, oszczepy, nabijane krzemieniem kostury, łuki i proce, w szłykach futrzanych — prusacy.

Jeden Kunigas im przodował, poufale obchodzący się z Masławem, który miłości jego okazywał, rad nie rad znosić musiał.

Mąż był nierosły, barczysty, gruby, z oczyma, które z pod brwi ledwie widać było, śmiały a nie baczący wcale na dostojność, w jaką się Masław przybierał. Na równi z nim chciał stać i z pychą też a dumnie mu odpowiadał. Nowy kneź potrzebować go musiał, bo choć mu się czasem twarz krzywiła i drgała, znosił to obejście się z nim cierpliwie.

Niekiedy oczyma rozglądał się po swym dworze. Szło mu o to, ażeby się on w oczach prusaków pańskim wydawał, wszyscy też jak na uroczystość strojni byli i zbrojni.

Niewiast, starym obyczajem w izbie nie było.

W końcu stoła usadowiwszy się Masław, Kunigasa posadził przy sobie, czerwone mu też sukno podesałszy. Przed niemi dwoma misy postawiono srebrne, a że ich na inne stoły nie starczyło, glinianemi się i drewnianemi przy nich posługiwano.

Wszedorowi Masław u drugiego stołu miejsce naznaczył, aby tam gospodarzył.

Krom prusaków, którzy głosy podnosząc, jeść i pić poczęli swobodnie, reszta dworu Masławowego, wedle przykazania pańskiego pewnie, zachowywała trwożliwe milczenie. A że do tego nie byli przywykli, tu i owdzie wyrwał się okrzyk, to śmiech dziki, groźném wejrzeniem zahamowany. Nie szła rażno posługa, plątali się ludzie i popychali, za drzwiami wybuchały groźby, hałasy i jęki; lecz byłaby uczta przystojnie się skończyła, gdyby

się nie przeciągnęła przy kubkach. Miód porozwizywał języki ludziom do wstrzymywania się z wybuchami gniewu i wesela, niezwykłym.

Ku końcowi, już wrzawy nie powstrzymać nie mogło, i nie myślał nikt o tém, choć się kneziowskie zasepiło oblicze. Psów też moc dworskich i obcych zebrała się pod stołami, gdzie kości zrucano, i coraz warczeniem i zajadaniem się powiększały wrzawę.

Przyczyniało się do niej i to, że starym obyczajem pod koniec, wszyscy gęślarze i śpiewacy z pod chramu się przywlekli do izby biesiadnej. Wpadli kupą i prawie przebojem, rozsiedli się wnet na ławach pod ścianami, a kto miejsca nie znalazł, na ziemi, w gęśle zaczęli brząkać, wreszcie i śpiewy krzykliwe zawodzić.

Tych też szanować musiał Masław, bo oni lud wiedli za sobą; stawiono im piwo i miód, dawano ucha, niektórzy też ze współbiesiadników, już podochoceni, od stołów im wtórować poczęli, w ręce poklaskiwać.

Nie na księżęcą wyglądało to gospodę — ano inaczej już pono być nie mogło. Wszystko to prusakom uczyty nie psuło. Zapijali, miód chwalać i rogi, które u pasów nosili, podstawiali do niego.

Już się ucza, dosyć długo przeciągnięta, ku końcowi miała, bo ze stołów jadło poznikało i tylko dzbany stały, gdy nagle, drzwiami od wnętrza dworca prowadzącemi, które się z trzaskiem otwo-

rzyły, wpadła nieproszona, dziwna jakaś postać. Prusacy na widok jęj przerażeni się z ław pozrywali. Masław jak trup pobladł.

Było się czego przestraszyć zaprawdę.

Niewiasta to była stara, wychudła, wysokiego wzrostu, z siwemi włosami rozplecionemi, które jęj na ramiona spadały, w grubęj bieliznie, zaledwie zeschę jęj okrywającęj ciało, bosa, bez pasa, i jakby z więzienia, czy z rąk oprawców wyrwana. Błada twarz jęj pomarszczona, oczy siwe zaognione, gniewne, których białka krwią zaszły i powieki nabrzękły od płaczu, usta śliną okryte — rozpacz jakąś i niemal obłąkanie wyrażały. Biegła, wołając głosem, którego zrozumieć nie było można, strwożona, gniewna, szalona, oglądając się jakby ją goniono.

Wpadła tak, rękami odpychając tych, co stali na drodze, przed sam stół i stanęła wryta, naprzeciw Masława mierząc go oczyma.

Kneź zerwał się z siedzenia blady, niemogąc słowa rzec, rękami tylko wskazując dworskim, na to widmo, które do izby wpuszczono. Prusacy z przestachu jakiegoś do nożów się brali, inni z miejsc powstawali, popłoch i zamieszanie ogromne w izbie się wszczęło. Ruszył się i Wszebor od stołu. W tém ludzie co za babą tą wbiegli, chwycili ją za ręce, ta wrywając się im, padła na ziemię, prawie u stóp kneziowskiego siedzenia. Masław cofnął się wylękły.

Przerażający krzyk słyhać było i szamotanie się przez chwilę, potem na ręce wzięwszy obląkaną ludzie dworscy, spiesznie za drzwi ją wynieśli

Słyhać tylko jeszcze było krzyk jój bolesny, wybuchający gwałtownie, tłumiony i coraz ciszej, jak jęk daleki, ginący gdzieś w głębiach dworu.

Masław z oczyma dzikimi, starając się uśmiechać, padł na siedzenie swoje. Kunigasowi który go pytał, odpowiedział zimno, iż to była biedna obląkana stara, kubek poniósł do ust, wypił go duszkiem, lecz choć obojętnego udawał, drżał cały. Gęślarzy część wyniosła się, mruczac za drzwi, cisza dziwna po tym gwarze, zapanowała w stołowej izbie, kneź skinął aby miód podawano, lecz i ten nie pomógł do wesela, tak wszyscy widokiem nieszczęśliwej niewiasty strwożeni byli i ponieszani. Umilkło wszystko, a z tych co więcej pili, kilku na stołach głowy pokładwszy chrapać zaczęło. Wreście i Masław, gości swych rozkazawszy prowadzić do izb dla nich przeznaczonych do spoczynku, sam ruszył się krokiem chwiejnym z siedzenia, otoczony komornikami, miecz przed sobą nieść rozkazując — powoli z komory się wysunął.

Inni, oprócz uśpionych, których nikt budzić nie myślał, rozchodzić się zaczęli. Wszebor, który niewiedział dalej jakie miał pełnić obowiązki, sam prawie tu pozostał. Widok straszliwej baby tej,

która ucztę ukazaniem się swém popsuła, niemógł mu wyjść z pamięci. Zkąd się ona na dworze tym wziąć mogła? kto była? czego chciała? domyśleć się było trudno, choć z ruchów, krzyku i wyrazów kilku można się było dorozumieć, iż prośbę jakąś do Masława miała.

Kneź też raczej widokiem zdawał się przerażony niż gniewny, żadne przekleństwo z ust mu się nie wyrwało, słowa nawet przemówić nie miał siły, on co tyle miał odwagi i surowym był do okrucieństwa?

Myślał nad tém Wszebor przechadzając się po izbie, gdy do niej wszedł Huba.

Na twarzach dworaków ten sam niemal wyraz trwogi zostawiło to zjawisko co na Masławie. Huba był chmurny i zafrasowany.

— Co to była za niewiasta? — zapytał go Wszebór.

Huba zmierzył go oczyma, ramionami ruszając.

— Stara baba, niewiem — rzekł — choć wi- dać było, że wiedział więcej niż chciał powiedzieć. Unikając dalszych pytań, oddalił się natychmiast. W tém wyrostek wpadł, szukając Wszebora ażeby do pana spieszył.

Komnata książęca do której mu wskazano drogę, była wzorem dworu Mieszkowego przyozdobiona tak, aby na ludziach do niej wpuszczonych, pańskiego dostatku czyniła wrażenie. Nagromadził w niej Masław do zbytku naczyń i ɔpon,

umyślnie je na okaz wystawując. Wszebor wcho-
dząc zastał go napół leżącym na pościeli, ujrawszy
go, zerwał się kneż.

Twarz miał zmienioną i straszną. Zszedł z niej
rumieniec, usta były sine, oczy dzikie, policzki
i czoło marszczyły się wyrazem tłumionego gniewu.
Wpatrzył się we Wszebora, jakby chciał poznać
po nim, z czém on przechodził.

— Widzieliście — zawołał — ucztę mi popsuto.
Czeladź niesforna, u drzwi nie było straży.

Wszebor milczał.

— Szalona wiedźma stara! — mówił Masław
dalej. — Przez litość jój dano przytułek. Napa-
dają na nią takie chwile, męczą ją duchy, sama
niewień wówczas co robi i plecie.

I chodził z głową spuszczoną po izbie.

— Zamknąć ją kazałem dawno!

Burzył się i walczył z sobą widocznie, potem
jakby się chciał przemódz, z twarzą na pozór roz-
pogodzoną, z pod której jeszcze widać było we-
wnętrzne wzruszenie, począł do Wszebora.

— Widzisz! posły do mnie ślą, o przymierze
mnie proszą ci którym Bolko nie dał rady! Na
ich zawołanie, ruszą mi się w pomoc tysiące, wy-
gnam precz niemców.

Głos mu się urwał nagle, coś innego do myśli
nabiegło i wtrącił.

— Gdy zechcę łeb komu kazać uciąć, albo

powiesić, od stołu go weźmie oprawca — mogę winnych ukarać srodze. Co chcę to mogę.

Wszebor słuchając milczał, on przystąpił do niego.

— Co ty na to? co?

— Przypatruję się i dziwię sile waszój — odezwał się Doliwa — dostatek też widać wszędzie. Winszuję wam.

— Myślisz może — dodał prędko Masław — że ja do tego nie miałem prawa? Słyszałeś te baśnie o których pletli na dworze? Kłamstwo wszystko, ja mam starych mazurskich kneziów krew w sobie. Jak Leszkom, tak i nam Piastowie dziedzictwo wydarli, wracamy do niego. Krew moja warta Piastowskiój.

To mówiąc, padł przed ogniem na posłanie okryte skórą i podparł się na rękę zamyślony.

— Piasty nie powrócą nigdy — począł jakby sam do siebie. — Kaźmirzowi się nie zechce lba nastawić. Nikt się nie ujmie za jego sprawę. Z Czechami...

— Cóż z Czechami poczynać myślicie? odezwał się wreszcie zmuszony coś powiedzieć Wszebor.

— Na Czechów mam Prusaków i Mazurów, w końcu podzielę się z niemi.

— Brzetysław dzielić się nie zechce.

— Zechce! — sprzeciwił się Masław — dam mu Szlązko, niech bierze Kraków i razem z nim pójdę na cesarza.

Wszystko to, co mówił przerywanemi wyrazy, podobniejszém było do gorączkowego marzenia, niż odpowiedzi na pytanie, zdawał się na własne wątpliwości, rodzące się w nim samym, rzucać te myśli, które je odegnać miały.

— Ogłoszę się królem — mówił dalej — korony Ryksa powywozila, ja tych nie potrzebuję, niech cesarz je trzyma, ukują mi nową, droższą i piękniejszą, a nie ksiądz mi ją na głowę włoży, ale ja sam! ja sam!

Rozśmiał się błyskając oczyma i wnet zasepił, oglądając trwożliwie. Zdaleka jakby jakiś krzyk doszedł do komnaty. Masław drgnął, począł się przysłuchiwać, panowała cisza znowu, odetchnął swobodniej. Myśl dalej snuła się po głowie.

— Choćby mi nawet Czesi i Niemcy wydarli kraj za Wisłą, tu u siebie zostanę panem. Z tą mnie nikt nie wyżenie, jam tu w domu. Prusaków obok mam, co ze mną pójda krok w krck Na własnych śmieciach silni jesteśmy.

Czemubym pruskiego Kunigasa dziewczki nie wziął za żonę? Alboż by mi jój odmówił? Da i kawał ziemi za nią jak należy. Starą wiarę wszędzie trzymać będziemy. Ochrzczona Ruś! ochrzczone Polany! ochrzczone Czechy! mówią. Kłamstwo! ochrzczone ich strachem i grozą. Lud z nami trzymać będzie, bo mu stare Bogi oddamy. Kościoły poobalamy, czarnych wypędzim precz.

Znowu ten sam krzyk dał się słyszeć zdala i ucichło. Masław zbladł, obejrzał się osowiałemi oczyma i zamilkł. Wszebor się też nieśmiało odczwać ani zapytać.

Nagle odwrócił się doń kneź.

— Tyś chrześcjanin? — odczwał się głosem drżącym.

— Jestem nim — rzekł Doliwa — wiecie o tém najlepiej, boście razem ze mną do kościoła i spowiedzi chadzali. Prawda to — dodał — niechrześcjanym ludzi dużo jeszcze po świecie, i takich co pochrzcjwszy się starą wiarę trzymają tajemnie, musi być nie mało — lecz i chrześcjan moc ogromna, a gdy idzie o wiarę, o krzyż, wszyscy idą razem.

— I żelaza dobrego mają dużo! — wyrwało się zamyślonemu Masławowi. U nas rąk nie zabraknie, ino mieczów.

Potał czoło, jakby myśli spędzał z niego, zbliżył się do Doliwy i po cichu, poufnie szepnął.

— Oni umieją robić cuda!

— Chrześcjanie? — spytał Wszebor.

— Ci czarni księża ich — mówił Masław tajemniczo. — Niewiem, czasem, moc jakąś mają.

— Mają! — potwierdził krótko Doliwa.

— A tych księży ocalało dużo — rzekł Masław — jak? niewiadomo. Nie przebaczano żadnemu, kazano wszystkich mordować, mało który nie ocalał? Jak? czary!

Czary — powtórzył, oglądając się trwoźnie. — Ludzie głoszą, że zabitych ciała po nocy świeciły światłością wielką, że ich orły i kruki pilnowały, tknąc nie śmiejąc.

Jakby trwogą wewnętrzną zdjęty, wstrząsł się Masław.

— To baśnie głupich ludzi — szepnął sam się poprawując.

Baśnie, trwogi, kłamstwa!

Spojrzał na Wszebora i przystąpił do niego, biorąc koniec łańcucha, który miał na szyi zawieszony.

— Ty sobie trzymaj jako chcesz, byleś mnie wierny był — rzekł — ale się ze swoim chrześcijaństwem nie chwal. My tu tej wiary znać nie chcemy!

A jutro — dodał — wybierz mi ludzi, chłop w chłopu, odziać ich każ jednakowo, żebym przeciwie kneziowską drużynę miał jak mi należy. Starszym nad nią będziesz i ochmistrem w moim dworze. Rozumiesz!

Wszebor się milcząc skłonił i wyszedł.

V.

Znalazłszy się sam jeden w sieni, Doliwa gorzko się uśmiechnął sam do siebie, na co mu przyszło! Sługą być i ochmistrem u chłopskiego syna, którego widział pacholikiem pokornym. To co tu widział zdumiewało go i oburzało, pozostać nie myślał długo, ale się przypatrzeć było trzeba, aby wiedzieć jak stały Masławowe sprawy.

Kosztowało go to, kłamać musiał, ale wpadłszy raz w to osie gniazdo, trzeba się było zachować cicho. Nie wiedział jeszcze gdzie się obrócić i co z sobą począć, gdy go Sobek stojący na czatach pozdrowił mileżąco. Nie mówiąc słowa wskazał mu aby szedł za nim. Dwór już był napół uśpiony, ludzi niewiele snuło się jeszcze po zakamarkach ciemnych, któremi przeciskać się musieli. Tak wyszli na drugie podwórze, a tu Sobek, jakby

się od posłuchania bezpieczniejszym czuł, zwróciwszy się ku Doliwie, rzekł mu:

— Izbę wam dali lichą, a co robić? dwór dziś pełny, prusaków i pomorców... Chciałem dla was osobnej, abyście spocząć mogli, ledwie się komórka znalazła. Kleć mi chcieli dać, gdzie ognia nie możnaby zapalić.

To mówiąc, wprowadził Wszebora do budynku, w którym gwar jeszcze niewieści słychać było z jednej strony, z drugiej prusaków czereda pilnowała progu swych panów. Z wąskiego wniścia weszli do małej komory, w której Sobek już był ognia rozpalil. Wązka, osmołona, brudna, widać że była tylko co opróżnioną dla pańskiego ochmistrza. Ławę miała jedną, w kącie trochę siana pokrytego skórą, a na ścianach mnóstwo powbijanych kołków, pozostało od dawnych mieszkańców, którzy na nich odzież wieszali.

Sobek wwiódłszy go tu, choć miał ochotę o coś spytać, coś może powiedzieć, wstrzymał się palce sobie położywszy na ustach. Budynek był zamieszany i swobodnie się rozmówić niebezpiecznie było. Z twarzy tylko starego bartnika poznać mógł Doliwa, że mu ten dwór nie był do smaku. Sobek oznajmił, że do koni odchodzi, a Wszebór się drewnianą zasuwą na noc zawarowawszy, przed ogniem siadł zamyślony.

Miał się o czém zadumać!

Wszystko co tu widział, dziką ale wielką jakąś siłę wyrażało, z którą rozbite rycerstwo piastowskie, mierzyć się nie mogło liczbą, choćby jój mężstwem sprostalo.

Jeszcze miał w uszach wrzawę biesiadną, wykrzyki, śpiewy i ów jęk starzej obłąkanej niewiasty, która ucztę popsula, przypominał sobie co slyszal od Masława i trwoga a smutek serce mu ścisakały. Mieliz się poddać tej sile zwierzęcej człowieka co się wiary wypierał i do dawniej dzikości naród chciał prowadzić?

Przyszło mu na myśl i Olszowe Horodyszcze, a garstka w nióm schroniona — którą zguba czekała, bo nie było środka jój ratować.

Myślał tak, gdy jęklive jakies glosy obok, niedaleko slyszec się daly. Uciszył się Wszebór nie śmiejąc poruszyć, aby podslychać. Ściany izby drewnianej cienkie były, i z sąsiedniej dochodziła go jakby przerywana rozmowa. Poznał w niej głos niewieści. Zbliżył się więc pocichu ku przegrodzie, która go oddzielała od komor poblizkich, i ucha nadstawił.. Wyraźniej teraz mógł pochwycić, jęklivy głos niewiasty i drugi, który ją zagłuszał, ciągle przerywając.

Przysunawszy się do ściany postrzegł dopiero Wszebór, iż w niej otwór był nakształt okna dawniej wyciosany, który z sobą łączył dwie izby. Drewniana okiennica zasuwana zasłaniała go tylko. Z ostrożnością Doliwa sprobował nieco odstłonić

tę zaporę, która łatwo się dała popechnąć, bo była wyschła i ledwie się trzymała. Tyle tylko odsunął jęj, aby oko mogło do komory sięgnąć i obaczyć co się tam działo. Z początku nie widział nic w pomroce, która panowała w szerokiej izbie, małym ogniem dogorywającym słabo oświeconej. Wpatrzywszy się nieco, rozeznać mógł dwie postacie w bieli, z których jedna na ziemi siedziała, druga stała nad nią. W pierwszej z nich poznał Wszebór ową starą obłąkaną, która wpadła czasu uczty, lecz zmienioną teraz, uspokojoną, z załamaniem na kolanach rękami siedzącą na słomie. Na twarz jęj zeschniętą, pomarszczoną, padało drgające światło z ogniska. Wszeborowi zdało się że widział z oczów jęj płynące łzy. W grubiej koszuli, z bosomei nogami, na pół prawie obnażona, siedziała wzrok wlepiwszy w ogień i głową poruszała ciągle, jak płaczki gdy nad umarym zawodzą.

Stojąca nad nią druga, młoda i strojna niewiasta, hoża, smukła, twarz miała jakąś znudzoną i obojętną. Nie było na niej boleści ani współczucia, raczej zniecierpliwienie i dąsy.

— Słuchaj ty, stara Wygoniowa — mówiła pochylając się do niej — taki ty się swojem szaleństwem dorobisz i doigrasz że cię do jamy rzucą i głodem zamorzą. Co tobie się śni! co tobie chodzi po głowie?

Stara się ani obróciła ku mówiącej, potrzasała ciągle siwą głową, na ogień patrzyła a słyszeć się nie zdawała.

— Że dziś ci sto łóz nie dali, powinnaś mnie do nóg padłszy dziękować! Kneź był wściekły!

Dopiero na wspomnienie Knezia głowę zwróciła nieco stara.

— Co mówił? — spytała.

— Sto łóz starój wiedźmie! — zawołała młoda, poprawiając włosy na głowce... — Sto łóz szalonej babie!

— On tak mówił? on? — powoli odparła stara Wygoniowa. — A sprawiedliwie! sprawiedliwie... czemu rozumu nie ma. — Szydersko to mruknęła.

— Widzicie! sami mówicie! — podchwyciła młoda.

— I nie będzie miała rozumu — mówiła stara — choćby jój i sto i dwieście łóz dali.

— Co się wam śni — poczęła druga. — Kneziowi włazicie w drogę, gdyby, jak drudzy, zły był, co myślicie? powiesićby kazał.

— A no! — rzekła stara — niech on każe i niechaj wieszają.

Spuściła głowę, a po małym przestanku poczęła nucić głosem ochryplym:

Luli mały, luli
Na ręku matuli,
Śpij mi złotko moje,
Mlekiem ja cię poję,

Krwią cię moją żywię,
Żyj ty mi szczęśliwie,
Luli mały, luli!

— Tak to ja jemu śpiewała, gdym go karmiła, ot temi, temi piersiami zeszlęmi — dodała koszulę rozdzierając gwałtownie — a teraz! na gałąź starą sukę! sto łóz wiedźmie! hej! hej! Jakże urósł szczęśliwie!...

Podparła się na rękę.

— To co żeście go karmili? choćby tak i było — poczęła młoda, nogą bijąc o ziemię. — Czy to jedna mamka cudze dziecko do piersi bierze, gdy matki nie stanie.

— Mamka!! — krzyknęła stara podnosząc oczy groźne... — ty, ty jakaś, jak ty mnie śmiesz mamką nazywać? Mamką ja nie była! Ty choć żoną nie jesteś, możesz się dać całować... na to ty się urodziła, a do mojej piersi tylko własne dziecko usta mogło przycisnąć... Ty! latawico jakaś!

Młoda kobieta gniewnie odskoczyła.

— Wiedźmo ty stara! jędo przekłęta! a tobie co do mnie? Widziałaś jak mnie całowali?

— Kto nie chce to zobaczy, bo ty to masz napisane na liczku — zawołała stara, rozgarniając włosy siwe — patrzże na moją twarz, czy tam stoi żebym ja cudzym dzieciom mamką była?

— Tam stoi — rozśmiała się młoda — że didko ci rozum wziął i do sakwy schował. Ot co! ale ty się doigrasz stara, że cię powieszają...

— A no! wiatr mi wtedy łzy osuszy! — zamruczała Wygoniowa.

Zamilkła i głowa jej znowu z ramienia na ramię smutnym jakimś rytmem przechylać się zaczęła... Młoda stała nad nią nadaśana, zła, z brwią zmarszczoną.

— Mnie tu do was przysłali — odezwała się — ostatni raz, będziecie mieć rozum czy nie? Siedźcie spokojnie, dożyjecie tak wieku a nie wam braknąć nie będzie... Chodzić i tak siły nie macie. Co wam, źle w izbie? Jeść, pić, czego dusza zapragnie? Macie len do kądzieli, ile prząśń zdążacie. Nie zimno, nie głodno... jeszcze wam czego potrzeba! Siedzielibyście cicho.

— Jak by tak wam Zynio, to i by dosyć było, byle jeszcze chłopak przychodził! — zawołała stara — ja zamknięta, bez słonka i powietrza nie wyżyję... Nie!

— Pewnie — przerwała Zynia — jakby wam drzwi otwarto, tak jak dziś co przypadkiem chłopak zapomniał zasunąć, poszlibyście ludzi straszyć i Kneziowi w oczy leźć.

— Bo ja mam prawo, słyszysz ty latawico bezczesna! — krzyknęła stara — mam prawo tam być gdzie i on, siedzieć gdzie on siedzi, chodzić gdzie pójdzie... Rozumiesz!

Szyderskim śmiechem odpowiedziała Zynia:

— Starój życie nie mile!

— Oj, nie miłe, nie miłe! — powtórzyła jakby do siebie i do ognia mówiąc stara. — Żyłam ja nadto, oczym wyplakała, ręce łamiąc połamała, piersi stękając rozbiła. Oj, życie mi nie miłe! nie miłe! Życzę tobie, latawico, więcej nic, więcej nic, tylko mego losu i starości mojej!

Zynia mimowolnie krzyknęła... Wyrazy te wymówione jak przekleństwo, przeraziły ją.

— Za co mnie tak życycie, za co przeklinacie — odrzekła — czy to ja swoją wolą mówię... Niosę co mi kazano.

— Milczalabyś lepij, milczała... — odparła stara.

Zynia odstaąpiła kroków kilka i zaczęła się po izbie przechadzać. Wygoniowa ani spojrzała na nią. Kilka razy młoda wzrokiem ją wyzywała bojaźliwym i nie wymogła ani rzutu oka ani wyrazu. Staruszka w swém bolu pogrążona, karmić się nim zdawała. Łzy które przestały cieć, puściły się znowu.

Obawiano się naówczas wiedźm starych i ich czarów, tém się tłómaczyć chyba mogło, że Zynia przekleństwo usłyszawszy, chciała się teraz wkłęcić w łaski Wygoniowej, aby na nią jakiego nie rzuciła uroku...

Pokrążywszy po izbie, Zynia przysiadła obok starj na ziemi, zmienionym głosem poczynając.

— No, nie gniewajcie bo się na mnie. Co ja wam winna! mnie posyłają, ja iść muszę. Złe

wam nie życzę, a co mówię, dla dobra waszego. Wy sobie sami życie trujecie. Siedzicie bo spokojnie, będziecie szczęśliwą.

Odwróciła głowę Wygoniowa:

— Szczęśliwą! — powtórzyła — ja? szczęśliwą? koło mnie szczęście drogi zapomniało! Nie plec pleciucho... milczałabyś lepiej.

Ręką ku niej machnęła, aż Zynia uląkłszy się odsunęła się.

Ogień przygasał na kamieniach, młoda rada była że do niego mogła wstać i parę szczepek przyłożyć. Nie mówiła już nic, chodziła oczyma za starą spoglądając z obawą.

— Wody wam dać? — spytała.

Wygoniowa głową potrząsała...

— Miodu?

— Daj ty mi trucizny! — szepnęła stara — a takię co by prędko ubiła, nie męczyła długo; duru mi przynieś, blekotu zgotuj... Za to ci podziękuję.

— Skręciła się stara — mruknęła cicho Zynia.

Jakiś czas cicho było, a że w podworcach też wszystko się pospało i we dworze, najmniejszy szelest chwycić łatwo mogło ucho, Wszebór, który ciekawie wpatrywał się i nasłuchiwał, około budynku chód szybki i niecierpliwý poczuwszy, strwożył się nieco, czy nie ku jego drzwiom kto się zbliżał... W tej saméj chwili szeroko się otwarły te, które prowadziły do izby kobiet, —

wszedł ktoś i prędko za sobą zasuwę zaparł. Stara Wygoniowa wlepiła oczy, młoda jak przestraszona w kąć uciekła, rumieniec jęj na lice wystąpił.

Przybyłego nie widać jeszcze było, stał w mroku. Nagle wysunął się na światło i stanął przed starą, która ręce podniósłszy, krzyknęła, padając twarzą na ziemię. Był to Masław, prostą oponczą okryty, z twarzą od gniewu zapaloną i niespokojną.

Stał z początku nie mogąc przemówić słowa, oczyma powiódł po kątach, dał znak Zyni aby precz szła, i dziewcze pod ścianami się sunąc, eicho dobiegło wyjścia, wymknęło się niem i znikło.

Stara patrzyła płaczącemi oczyma na Masława. W twarzy jęj mieszały się uczucia dziwne, radość, gniew, rozpacz i szczęście. Masław stał groźny, lecz strwożony razem...

— Słuchaj ty, stara — począł głosem jakby ochrypłym — ja ci sam, raz jeszcze przyszedłem powiedzieć, życia swojego strzeż. Masław cierpliwy, do czasu, a w gniewie, od wilka wściekłego sroższy... Zasec każe, zabić każe!!

— Gadaj! — szepnęła stara — niechaj choć głos słyszę... gadaj! Ja tobie życie dałam, ty mnie za to śmierć!

— Oszalała baba! — krzyknął Masław — jak ty śmiesz stara szalenico, nazywać mnie, mnie knieżowskie dziecko, synem swoim! ty!

— Gadaj synku, gadaj — rzekła Wygoniowa —
mnie głosu twego słuchać miło... Ja zawsze,
zawsze mówiłam nad kolebką twoją, że ty godny
kneziem być, królować!

Wyciągnęła ręce.

— Królem ja cię nazywała, ja, ja stara wiedź-
ma szalona! Pamiętasz! — mówiła cicho — pamię-
tasz... Pomacaj się na czole, z prawej strony
masz bliznę... Byłeś mały, padłeś na kamień
i rozbiłeś głowę, jam ci ranę jak pies lizała...
Tyś na moich kolanach płakał i za palec mnie
ugryzłeś! a to była przepowiedź tego co się ze
mną i z tobą miało stać... Ja nogi ci liżę, ty
mnie depecesz nogami!!

Zakryła rękami oczy i zaszła się od płaczu,
Masław stał. Widział Wszebor jak bladł, jak mu
się twarz mieniła, jak naprzemiany słabł i męźniał.

— Pleciesz duby smalone, stara! — zawołał —
na czole żadnej nie mam blizny, nie znam ciebie!
Mam tylko litość nad tobą... Siedź cicho chcesz li
być całą, a milcz! Stul gębę i nie śmieję mówić
żebyś ty mi matką być miała.

A pomilezawszy, dodał cicho:

— Gdybyś ty matką była, nie psuła byś mnie
u ludzi, nie robiłabyś wstydu przed światem. Ja
knieziem jestem i będę... tyś pastusza wdowa...

— A ty kneziu miły, pastuszy syn! — smutnie
rzekła stara. — O! bodajci było z biczem chodzić
za trzodą, nie z mieczem na gardła cudze nastą-

wać, aby potem swoje dać! Co tobie z tego kneziostwa? co?...

Masław mruczał coś niewyraźnie.

— Będiesz milczała? — spytał.

Wygoniowa zadumała się...

— Puście mnie ztąd — odpowiedziała smutnie — pójdę i będę milczeć. Nie powiem nikomu żeś synem moim, króluj sobie! ale puście mnie z téj niewoli... hen! tam do staréj chaty! puście! puście! Niechaj oczy się nie patrzą, serce się nie krwawi... Nie powiem nikomu, puście mnie tylko.

Ukłękła składając ręce, Masław brwi ściągał i rudawą brodę szarpał.

— Co ci tu, źle! ptasiego mleka chyba brak? Pójdiesz na czarny chleb i nędzę czarną, a usta nie strzymają, będziesz pleść duby swoje... Nie... nie!!

— To mnie zabić każ! — mówiła stara — tak, prędko jak twoi ludzi umiejają... Głowa się ledwie trzyma. Ja w niewoli oszaleję, ja do niéj nie przywykłam... Ja ci życie dałam, ty moje weź.

Upadła płacząc na ziemię, ale prędko podniosła oczy i poczęła chciwie wpatrywać się w Masława, jakaś myśl jéj przyszła nagle, usiłowała powstać. Kneź się cofnął nieco, stara podniosła się z trudnością, i oczy wlepiła w niego: jakby o sobie zapomniała. Karmiła się widokiem tym nie mogąc nasycić. Wzrok jéj piekł widać knezia, bo się począł cofać niespokojny...

— Stój — odezwiała się — już ja ciebie o nie nie proszę, niech popatrzę tylko! Tak dawnom ciebie nie widziała! A! a! co to się z niego zrobiło! Jak to ciało wybielało... jak dziecina urosła, jaki pan z mego syna... Myślałamże ja, piastując cię na rękach, że bohatera wykołysam!

Powoli zbliżała się ku niemu, twarz jej z gniewnej przechodziła w rozrzewnioną, klękała i pochwyciła go za nogi, całując je... Masław drżał cały...

— Kneziu mój! gołąbku mój! czy ci sępy serce wyjadły, czy ci krucy oczy wydłubały... nie znasz że ty matki swojej! O! złoty mój! nie chcę nic od ciebie, puść starą na swobodę; mnie tu duszą te ściany, mnie wyjść kroku nie dają, głosu podnieść nie wolno... nie! Zlituj się ty nademną!

Kończyła te słowa, gdy kneź szybko się cofnął aż do drzwi. W progu już stojąc, odwrócił się ku niej:

— Mieście rozum, kiedy całą chcecie być! to ja wam mówię! ostatni raz! Siedzicie gdzie przykazano! słyszycie!

Odryglowano drzwi i Masław wyszedł, stara jak leżała u nóg jego na ziemi, została w miejscu, twarz ukrywszy w dłonie, rozciągnięta na toku.

Leżała tak płacząc, gdy znowu weszła ale już nie Zynia, stara w ubogiój, zgrzebnej bieliznie baba, silna, z rękami obnażonemi, z włosami roz-

rzucenemi, które chusta brudna zaledwie na pół osłaniała... Popatrzała na leżącą namarszczywszy się.

— Hej! słyszysz! — zawołała groźno — a na barłóg więdmo stara! dosyc tego.

To mówiąc, pochwyciła ją w pół rękami silnemi, i, nie broniącą się nawet na postanie w kącie zaniósłszy rzuciła. Z kolka zdjęła siermięgę, nakryła ją, popatrzała i poszła ogień przygasić. Wkrótce Wszebór nie już dojrzcć nie mogąc, i nie słysząc nic, oprócz głuchego jęku i chrapania, zasunął okienniczkę. Ułakł się, aby nazajutrz niedomyślano się że był na podsłuchach, i suknię na nięj zawiesiwszy, sam tęż legł na postanie.

Nazajutrz jak świt zaskrobano do drzwi, poszedł je otworzyć, był to Sobek, który chciał ogień rozniecić. We dworcu się już ruszać poczęto. Dzień naówczas wszędzie po chatach i grodach zaczynał się ze światłem i z niēm kończył. Gdy Wszebór wstawszy okienniczkę od podwórza odsunął, zobaczył już Masława na koniu pod okopami, który ludzi swych ustawiał, dobierał, broń opatrywał, tarcze przerzucał, jezdnym konie probować kazał.

Wojsko to, zbierana drużyna, niesforna i dzika, zdawała się męzną i dzielną. Na teraz nie miało ono jeszcze z kim walczyć w kraju, bo rycerstwo królewskie rozproszone było, a z Czechami, którzy je orężem i liczbą przewyższali,

mierzyć się nie śmiało. Masław do jakiejś przyszłej walki, którą przeczuwał, gotować się zdawał. Z okna widać było, jak pułki nowe objeżdżając, kneź to się z ludźmi po książecemu obehodził to, zapomniawszy się kim był, stawał się w gniewie prostym człkiem, sam własnymi rękami rwąc się do niesfornych.

Wszebor a za nim stojący Sobek zdala patrząc głowami potrząsali, staremu bartnikowi, to uśmiech się kręcił po ustach, to brwi się marszczyły. Głos niekiedy aż tu dolatywał groźny i krzykliwy.

Milcząc tak stali chwilę, aż bartnik odwiódł na stronę Doliwę.

— Nie mamy tu czego długo przesiadywać— rzekł cicho—obejrzyjcie się—uchodźmy... Widzicie co ma... więcej nam nie trzeba.

— Siłę ma, wielką siłę, a my żadnej — odparł Wszebór wzdychając.

— Juści nie przystaniemy do niego — szepnął bartnik. — Na oczyśmy widzieli to o czém słuchy tylko dochodziły... niepopasajmy tu długo.

Wszebor głową tylko kiwnął...

Zaskrobano do drzwi, i z pokłonem wszedł Huba.

— Ludzie stoją w podwórzu których do drużyny pańskiej wybierać macie — odczwał się. — Skarbiec też otworem. Kneź przykazał posłuszeństwo. Czekają na was.

Ruszył się rad nie rad Doliwa, za wiodącym go Hubą. W podwórceu stała pokaźnej młodości spora gromada, chłop w chłopa z wesołemi twarzami, butni i raźni. Wszystko to było od pługa i siekiery spędzone, nie otargane jak dzikie konie ze stada wzięte... Doliwa obchodzić ich naprzód począł, potem wybierać... Cisnęli mu się jedni, uciekali drudzy, ale Huba stał tuż z kijem w rękę i sprzeciwiać się nikt nie śmiał. Wprędce złożyła się przysłała drużyna pańska, i z nią szli do wczorajszego skarbcu, gdzie na nich czekał stary dozorca... Nie zbywało na odzieży i na orężu, tylko obojga dobrać jednostajnych nie było podobieństwa. Łupy na kupę pozrzućcane, z różnych pochodzące dworów, nie łącno się dały pościagać tak, by jednostajnie przybrać było można drużynę. Mozolił się nad tém jeszcze, gdy już ochmistrza nowego do pańskiego stołu powołano. Tu znów zasiadali prusacy, których hałaśliwiej jeszcze niż wczora żegnano, bijąc w dłonie na wiekuiste przymierze.

Zdała świadkiem był Wszebór, jak je zapijano i głośno się zmawiano ile Kunigas ludzi miał postawić i gdzie z niemi pójść mieli. Masław tajemnicy nie czynił z tego do czego się sposobił.

— Z Piastami nie koniec mnie jeszcze — mówił pijąc do Kunigasa. — Nie ma już ich w kraju, wygnaliśmy precz, ale z niemcami trzymają, z niemcami oni wrócić mogą. Czerń rycerstwo wytłukła,

dwory popaliła, a no się to plugastwo rozbiegło tylko, a jak do przytomności przyjdzie, skupi się znowu... Nie koniec to jeszcze, nie koniec! Stoją jeszcze gródki całe, i nie wszystkie głowy z karków pospadały...

Zbladł Wszebór słuchając, bo też Masław mówiąc to, okiem nań rzucił. Więc bratano się z prusaki i starym bogom a pogaństwu poprzy sięgano wiarę. Miód szumiał i wrzawa się powiększała, a trwało tak aż do odjazdu Kunigasa, którego na podwórzec Masław i dwór odprowadzili do koni... Tu jeszcze napełniono rogi, spijając na zagładę chrześcijaństwa, a gdy prusacy nakoniec siadłszy wyjeżdżali z zamku, mnogi lud i gęślarze prowadzili ich z okrzykami za okopy.

Wszebór stał wpatrując się w to i przysłuchując, gdy Masław nań skinął aby mu do izby ową wybraną drużynę na okaz przyprowadził. Ruszył się więc spełnić rozkaz, ale w tej chwili drzwiami którymi miał wychodzić, weszło poselstwo nowe i kneź oczyma go zatrzymał.

Jeszcze to dziwniej wyglądało niż dzikięj ale wojennęj postaci posłowie pruscy. Kupa była ludzi z za Wisły przybyłych, od owęj czerni, która tam kraj pustoszyła... W kożuchach pokrwawionych i siermięgach pobroczonych odziani, z twarzami miodem i piwem już zagrzanemi, z hałasem i śmiechem wtoczyli się, niewiele okazując poszanowania zbóje. Starszy z nich, drab prze-

chodzący innych głową, z ogromnemi włosami, długo mu na ramiona spadającemi, zdjął czapkę baranią, przystąpiwszy dopiero ku Masławowi, i nieco mu się ręką do kolan uniżył. I on i ci co mu towarzyszyli, wesole mieli oblicze, najmniejszego strachu patrząc na kneziowski majestat... Plądrowanie po kraju nauczyło ich nie nie szanować, silni się czuli...

— No, my do was przyszli, kneziu nasz — zawołał starszy — poradzić się i pocieszyć. — Ty nasz! ty nasz! — gromada cała podniosła czapki wesolo, wtórując okrzykiem.

Masław marszczył się milezący.

— Tam, za Wisłą, my już tak dobrze jak skończyli, kraj tobie oczyścili. Idź i panuj... Stare chramy staw, stare bogi wróć! Niemcom i ich bogom na zgubę!

Znów się wzniósł okrzyk i czapki podniosły do góry. Mówca brodę pogładził, rozglądnął się wkoło.

— Rycerstwa i niemieckich księdzów nie ma już, grodków mało co stoi, te głodem weźmiemy, albo i na oszczepach rozniesiemy... ale czechom my rady nie damy. To twoja sprawa, miłościwy. Chcesz panować, trzeba się ich pozbyć...

Wszyscy otaczający posła, głową i rękami mówiącemu potakiwali, słuchał Masław.

— Rycerstwa nie ma nic? — zapytał.

— Tak jak nie ma — rzekł śmiejąc się poseł — choć się tam który po lasach tłucze, przyjdzie zimno, mróz i wilecy reszty dojedzą.

— A gródki popalone?

— Gdzie który się jeszcze ostał, na niedługo — odparł poseł. — Tu w pobliżu tylko na jeden sami może rady nie damy. Gdybyś nam ludzi wojennych i pomoc dał, łatwiej by przyszło.

— Któryż to? — odezwał się Masław...

Gromada cała, głuszając się, poczęła wołać:

— Olszowe Horodyszcze!

Wszeborowi krew wystąpiła na twarz.

— Okopali się tam psie syny — ciągnął dalej mówca — ostrokołami otkali, i pilnują a bronią tak, że ich trudno wziąć. Głód ich zmorzy, to prawda, a co potem, niewiast tam dosyć jest, coby się przydały nam, pochudną; co jest zapasu wyjedzą, a nuż czechy przyjdą i złupią? Bogactwa tam wielkie, szkoda stracić.

— Olszowe Horodyszcze! — mruknął Masław, pytając...

Poseł ręką wskazał stronę w której leżało...

— Dajcie nam ludzi — rzekł — jak się rzucimy na wały razem ze wszystkich stron, nie obroniamy się... Skarbami choćbyśmy po połowie się podzielili, dosyć ich dla wszystkich będzie. Pozwoliczili ich tam moe zewsząd wielką, a i stary Belina sam zasobny był... Trzeba to gniazdo wywrócić ze szczętem...

Masław zamruczał coś niewyraźnie; poselstwu od czerni piwo niesiono i częstować je zaczęto... Wzięli się tedy do kubków wszyscy, kłaniając panu co ich przyjmował, a pan był twarzy posępnej czegoś. Zbytńia poufałość ludu prostego w smak mu nie szła. Oni też spoglądając na tego swojego knezia, nie zdawali się w nim lubować zbytńio. Nadto się im wydawał butnym i do dawnych panów podobnym.

Wszebór, który miał już odchodzić, zasłyszawszy jak się nad napadem na Olszowe Horodyszcze naradzano, został umyślnie, aby wiedzieć co będzie postanowione...

W gwarze, który się wziął przy piwie, trudno co było usłyszeć. Z przybyłej gromady, głuszac mówcę, wyrywały się głosy różne i jedne drugim przerywały opowiadanie. To tylko mógł pochwycić Wszebór, iż chciwość Masława opisami skarbów i łupów podżegano, a kneź więcej niż o zdobycz o położenie gródka i siły jego się dowiadywał...

Te siły jedni podnosili bez miary, bo przed niemi ustąpić musieli, drudzy starali się okazać nie tak znacznymi, zgody nie było na nic. Jednomyślnie tylko bili w to wszyscy, iż rycerstwa wiele się pochroniło na Horodyszczu i dla tego samego wziąć je trzeba było koniecznie, aby niebezpieczni ludzie przebojem się nie ocalili.

Dla Masława też więcej znaczyło pozbyć się tych, których za najstraszniejszych swych wrogów uważał, niż obłowić zdobyczą.

Gromada pokłoniwszy się, nahałasowawszy, odeszła wreszcie odprawiona łaskawie, Masław znużony upadł, a Wszebór, gdy już wieczór się zbliżał, pod pozorem koni, wysunął się Sobka szukać ku szopom...

Jak niegdyś u Bolesława rycerstwa, zamek i podwórze we dnie i w nocy pełne były, dziś u Masława gmin je zalewał mnogi, który karmić i poić musiano. Około chramu kupy ślepców i śpiewaków, na okopach żołnierz, pośrodku gromady, które tu zewsząd przyciągały z pokłonami, obozowiska rozkładały. Przecisnąć się było trudno wśród szalasów, bud, klatek i porozkładanych ognisk. Śmiechy i śpiewy rozlegały się wszędzie. Gdzie niegdzie pokrławianą jeszcze odzieżą i kosztownymi oponami po dworach złupionemi kupczono i mieniano...

Wszebór mijając te kupy dostał się do szopy, przed którą dostrzegł z dala Sobka, ale i tu związała się czeladź i parobcy od stad i koni, rozmówić się trudno było...

Skinąwszy więc na bartnika, uprowadził go Doliwa za sobą, ku tej stronie, gdzie wał prawie był pusty i z ludu ogolony.

— Wasza prawda, mój stary — rzekł do Sobka odwiódłszy go na miejsce bezpieczne — wasza

prawda. Spieszyć nam potrzeba z powrotem. Tylko co przybyła gromada, żąda od Masława posiłków na Olszowe Horodyszcze, trzeba nam i o niebezpieczeństwie oznajmić i samym stanąć w pomoc. Być może, iż przebojem lepiej wyjść będzie zawczasu.

Sobek uderzył w dłonie.

— Jak się ztąd wydobyć?— spytał Doliwa.— Wpaść było nie łatwo, uciec trudniej jeszcze.

Poruszył się stary bartnik trochę niespokojnie.

— Mnie się ztąd wykraść łatwo — rzekł — kiedy zechcę wyjdę, nikt nie spyta; gorzej wam.— Pokręcił głową.

— Dla tego was pytam o radę—dodał Wszebór.

— Myście tylko jak się dostać za Wisłę do lasu — rzekł Sobek — dalej już moja rzecz cało was poprowadzić. Noc mamy przed sobą...

Doliwa podumał trochę...

— Tęj nocy? — spytał.

— A pocóż czekać mamy? aż powezmą jakie podejrzenia?

Naradzali się tak jeszcze, aż mrok zapadł i Wszebór musiał na zamek powrócić, aby się Masławowi ukazał. Uradzono po cichu nocną tegoż dnia ucieczkę...

Wpuszczony do knezia po rozkazy Doliwa, zastał go wpółuspionym po miodzie i piwie, niechętnym do rozmowy, dał mu tylko znak aby spoczynku nie przerywał. Wyszedł więc natych-

miast, zamiast do izby swój, nazad puszczając się w podwórce... Nikt tego wieczora ani go potrzebował szukać, ani zaglądał do jego komory.

Nazajutrz rano kneź ruszył się do swoich ludzi, przeglądać rynsztunek i konie, a wróciwszy ochmistrza wołać kazał. Czekano też nań aby wczorajszą drużynę opatrzył, ale go nigdzie nie znaleziono. Izba z wygaslém dawno ogniskiem stała otworem, nikt wychodzącego nie widział...

Rozbiegli się szukać dworacy, a naprzód do szopy i koni zajrzeli, Sobka i ich nie było...

Na wieść iż Wszebór zniknął, Masław porwał się wściekły, wnet najsprawniejsi ludzie i konie najręczsze w pogon za zbiegiem puszczono. Kneź klął się, iż nikogo z rycerstwa, choćby mu u nóg leżał, życiem nie daruje... Dziwny jakiś strach go ogarnął... Dzień cały spędził na okopach czatując azali, ci których wysłał nie przyprowadzą schwytanych. Wystawiona szubienica już na nich od południa czekała.

Pod noc dopiero, na zmęczonych koniach, zwolna wysłani ściągając się zaczęli, przynosząc wieści, iż nigdzie śladu Wszeboza nie natrafili. Przewoźnicy na Wiśle przysięgali, iż wieczorem ani z rana nieznanego nie przewozili nikogo, w okolicy nikt zbiegów konnych nie widział. Po obu brzegach rzeki tropiono ich kilka dni na próżno...

Huba chodził do wieszczbiarzy pod chram, aby wróżyli mu i opowiedzieli, gdzie szukać trzeba zdrajców. Każdy z nich wskazywał inną stronę.

Nie uspokoiło się w Płocku tak rychło; lecz nowe gromady, posłowie, narady i przygotowania zatarły pamięć po Wszeborze. Sposobił się oddział na Olszowe Horodyszcze, który z kupą ludu okolicznego połączony, miał napaść na gródek i osaczywszy go zdobyć się spodziewał.

VI.

Gdy w Płocku Masław, na samo wspomnienie Wszebora Doliwy, pięściami tłukł w stoły i ławy, odgrażając się, szydząc i bezczeszcząc dawnego towarzysza; a lając ziemian co nań nasłali zdrajcę, aby jego tajemnice podpatrzył; Wszebór nocą się z Sobkiem na upatrzonym brodzie wpływ przeprawiwszy za Wisłę, razem z nim manowcami darł w głąb puszczy, jak zwierz, który chce psy zbiec z tropu, przerzucając się w prawo i lewo; koniom nie dając odpoczynku, dopóki się od pogoni bezpieczniejszym nie poczuł. Stary bartnik wielką mu był pomocą, bo leśnego mieszkanka instynkt miał który go nigdy nie mylił. Kora drzew, wiatru kierunek, gwiazdy przeświecające na niebie, wszystko mu do wytknięcia sobie drogi posługiwało.

Jednakże, dla zmylenia pogoni, nieustannie zwracając się i wyszukując miejsce niedostępnych, Sobek nawet w końcu znalazł się w jakimś ostępie zupełnie sobie nieznanym. Nie obawiał się zbłądzić, lecz przybycie do Olszowego Horodyszczu zwlec się przez to musiało. Coraz późniejsza jesień wyżywienie koni trudniejszém czyniła tak, iż niekiedy młodemi gałązkami karmić się musiały. Tego pierwszego dnia który za stracony uważać było można, tyle tylko zyskali, że się wpędzili za błota i gęstwiny, w których bezpiecznymi się czuli. Nocleg przyszedł na łące, między drzewy, a szałasu nawet sklecić nie było czasu i ochoty, pokładli się ściągawszy z koni sukno i czaty pilnie sprawując dotrwali do ranka.

O świcie Sobek konie napoił i począł się krzątać, jakby z tych ostępów się dobyć ku najomszej okolicy. Inaczéj jak za kierunkiem wskazanym przez korę na drzewach iść nie było można. Jechał przodem bartnik, wybierając łatwiejsze przesmyki, a rozpatrując się w lesie, w którym najmniejsza poszlaka za skazówkę służyć mogła.

Już było około południa i gęsta puszcza zdawała się przerzedzać nieco, zwiastując polanę i strumień; zjeżdżali ze wzgórza małego, gdy Sobek konia wstrzymywać zaczął, a w końcu znak milezenia dając, stanął. Od strony w której las się kończył gwar słyszcć było, nie wyraźny, lecz dosyć znaczne zbiorowisko ludzi oznajmujący.

Przestrach ogarnął starego, bo nie kto inny mógł kupą chodzić tylko czesi, najezdzey jacyś lub czerń co się po kraju za łupem włóczyła. Wpaść w jej ręce, uniknąwszy Masława, było zgubą; na twarz bartnika też trupia wystąpiła bladość; w pierwszej chwili nie wiedział już co począć, wsłuchiwał się przerażony. W miejscu w którym stali olbrzymie pnie i gąszcz, las podszywająca zakrywała ich jeszcze, ale najmniejszy szelest mógł zdradzić. Sobek zsunął się ze szkapy swój, którą do młodej drzewiny przywiązał, za przykładem jego poszedł Wszebór, bo z koniem tu niebezpieczniej było niż pieszo. Oba razem po cichu skradać się poczęli ku miejscu z którego gwar coraz wyraźniejszy ich dochodził. Wzgórze na którym stali w drzewach ukryci, oberwane przez wody rzeczulki płynącej dołem, dozwalało ztąd okiem rzucić w dolinę. Spostrzegli wśród niej obozowisko z dosyć licznego złożone ludu. Kilkanaście wozów stało do koła otaczające je, konie spętane pasły się na łące. Dwa czy trzy namioty rozbite były w pośrodku, pality się ogniska w naprędcie rozkopanych dołach, koło nich pół zbrojna czeladź się kręciła. Kilku mężów zbrojnych widać też było z namiotu do namiotu przechodzących, inni na podestanych suknach leżeli. Byli to ludzie dobrze zbrojni, a w pośrodku ich na żerdzi stał proporzec oszarpany, zdarty, z którego trudno poznać było do kogo należał.

Zdała na myśl przyszli czesi patrzącym i już rozglądawszy się, cofać mieli, gdy i Wszebór i Sobek uczyli się nagle pochwycenemi z tyłu i powalonemi na ziemię. Wszebór miecz mający u boku, wnet oprzytomniawszy bronić się chciał, i dwu napastników otrząsał z siebie, gdy — nawzajem sobie w oczy popatrzywszy, poznali w nich służbę znajomych władków, a ta w nich ludzi nie obcych.

Ci którzy Doliwę przebranego po wieśniaczemu, za chłopą biorąc obalili, byli pacholkami Sreniawów, Sobka wywrócił drab, który miecz naszał za jednym z Jaksów.

— Co wy tu robicie? — krzyknął Wszebor — waszli to obóz?

Czeladź ręką tylko wskazała.

Uradowany Wszebór, gdy się najmniej spodziewał swoich spotkać, znalazł się między niemi. Nie przypuszczał nawet, ażeby z rozbitego rycerstwa jeszcze gdzie tyle razem zebranego być mogło. Szybkim więc krokiem pędził, konie zostawiwszy przy Sobku, do tego obozu, który mu się jakby zesłanym z nieba wydawał. Byli więc jeszcze ludzie co nadziei nie tracąc, gromadzili się i radzili o sobie.

Im bardziej się do obozu przybliżał, tém więcej radość jego rosła. Nie był to zastęp zbyt liczny, jednak z czeladzią i pacholkami przeszło sto głów liczyć musiał. Rycerstwo też przedniejsze, z któ-

rego się składał, całe jeszcze zbroje i oręż miało, a lica nie tak wynędzniałe jak Lasota i Toporezyk, których wprzód na drodze spotkali.

Ład też i spokój panował w obozie, a pochwycenie Wszebora dowodziło, że pilnie przystępu do doliny strzeżono.

Bogu dziękując, poruszony wielce Wszebór, przebywszy rzeczulkę, po rzuconej na niej kłodzie, wpadł do obozu, pędem prawie lecąc ku stojącemu tu rycerstwu. Zdawało go już postrzeżono, a że licho odziany był i nie poznał go z razu nikt, popłoch się niejaki wszczął, ten i ów wstawać począł z ziemi, niektórzy się już do oręża chwytali, gdy na przodzie stojący młody mężczyzna, przypatrzawszy się Wszeborowi, z krzykiem naprzeciw niego pospieszył.

Był to też z dawniej drużyny Kaźmirzowskiej, towarzysz Doliwów, Samko Dryja, przyjaciel obu braci, którego z oczów stracili, gdy król wicz poszedł na wygnanie, i wszystko się około niego rozbiło.

— Wszebór!

— Samko! — krzyknęli oba, ręce ku sobie wyciągając.

Na głos ten co było bliżej kupić się około nich zaczęło, przybyłego pytaniami zarzucając. Nim na nie odpowiedzieć miał czas, z namiotu większego wyszło kilku starszyny. Wzięto Wszebora wnet i wiadziono, gdzie byli dowódcy oddziału.

Pierwszy którego ujrzał siedzącego na pniu skórą okrytym, był siwy, stary, blisko osiemdziesiątletni Trepka, Mieszka pierwszego jeszcze czasy pamiętający. Siedział przygarbiony, kożuchem okryty, trzęsący się starzec w pośrodku, a przy nim stali dwaj synowie, dalej Jaksowie, Kaniowy, Sreniawy i rycerstwo przedniejsze Bolesławowskie stare, Mieszka i Ryksy. Wszystko to były niedobitki świetnych niegdyś pułków, wspianego dworu; żupanie, władyki, wojewodowie, podkomorzowie pańscy, o których że z życiem pouchodzili, nie wiedział nawet Wszebór; tém mniej że zebrani mogli być razem, bo wieści chodziły, iż co nie wyginęło po grodach, za granicę pouchodziło i rozbite się tuliło po kątach, śmierci czekając.

Podniósł więc Wszebór ręce do góry, Bogu naprzód za to dziękując, że mu dał oglądać rycerstwa ostatek, zgodnie a gromadnie się trzymającego.

Tamtym też na widok jego usta się nie zamykały, chwytano go, pytano ze wszech stron, rado wano się że jeszcze jeden ze swoich ocalawszy, szczupłą garść ich miał pomnożyć.

Tym, którzy Doliwy nie znali, a dziwili się siermiężnemu przybłędzie, tak serdecznie przyjmowanemu, Dryja i inni opowiadali, kto on był i jak się zwał. Ze wszech stron objało się o uszy imię Doliwy.

Gwar pod namiotem się stał taki, iż słyszeć już nie było można, Trepka więc stary, którego tu niby jako wodza szanowano i słuchano, począł kijem bić w ziemię i w stare dłonie plaskać by się uciszono. Inaczéj by się nie od Wszebora dowiedziéć nie było podobna.

Dopiero go starzec, ogromną swą siwą brodę pogładzając, począł pytać, z kąd szedł, jako się uratował, czyby co o innych nie wiedział?

Doliwa o swoich nieszczęściach rozpowiadał im, od wyrwania się z gródka, spotkania z Lasotą w Gdeczcu, aż do przybycia do Olszowego Horodyszcza. Nie przywiązując wagi wielkiéj do wyratowania niewiast z Ponieca, pominął je w opowiadaniu Wszebór. Dopiero, gdy począł o przyjęciu u Beliny mówić, z liku osób niewiasty się okazały.

Zaczęto pytać jakie były, i Doliwa mianował panią Spytkową, z córką Katarzyną. Nazwisko to wymówił ledwie, gdy z za starego Trepki, z ziemi, na którój ktoś kożuchami i oponczami otulony leżał, głos wielki się podniósł.

— O chwałaż Panu na wysokościach!

Wszystkich oczy w tę się stronę obróciły, gdzie z trudnością jakby z powijaczów się uwalniając, blada twarz i ręka żylasta się ukazała... Z pod chust zakrwawionych, które głowę całą obwijaly, twarzy téj ponurój a smutnéj, ledwie okrawek widać było. Jedno oko krwią zaszele,

policzek biały i wargę siną, która jak bezwładną wisiała.

— Co zacz jest ten starzec? — spytał Wszebór Dryi.

— A no Spytkowej mąż, co się cudem z pod stosu trupów, z pomocą ludzi uratował — rzekł cicho Dryja.

— Nam przyniesiono wiadomość, iż go w sztuki rozsiekano — zawołał Doliwa.

— A niewiele skłamano — rzekł dosłyszawszy to Spytek — nie mam na ciebie cząstki jednej, któraby posieczoną, pokłóta i porąbaną nie była, a co się ze mnie krwi utoczyło, stało by drugiemu na życie!

Wszebór zdumiony patrzył na porąbanego władkę, który chustę odgartując próbował też jego zobaczyć, gdy płotek namiotu się uchylił i Sobek, bartnik wpadł jak szalony, oczyma namiot ogarnął, a potem z krzykiem na ziemi legł przy panu swoim...

Zamilkli wszyscy na ten widok, Spytek też słowa ozwać się nie mógł, mrużąc tylko niewyraźnie: chwała Panu, chwała Panu na wysokościach...

Gdy w kątku bartnik po cichu zaczął rozpowiadać swoje i pani dzieje, wszyscy wrócili do Wszebora, dowiadując się o Olszowe Herodyszcze, lecz gdy mimochodem wspomniął iż na zwiady do Płocka chodził, i od Masława, głowę oca-

liwszy wraca, wrzawa się znowu wszczęła, ciekawi się tak cisnęli, że Trepka kijem, głosem i plaskaniem musiał porządek nakazać.

Nie chciano nawet wierzyć Wszeborowi ażeby się ważył wilkowi w paszczę leżeć, aż Sobka, towarzysza na świadectwo wezwał.

Posypały się znowu pytania, o człowieka, choć go niemal wszyscy wprzódki znali, o siłę jego i o to co zamyślał. Z nienawiścią mówili o nim wszyscy, a jeden głos w obronie się nie odezwał. Gdy Wszebór o tłumach przez niego zebranych mówić począł, wierzyć znowu wzdragano się, wreszcie rycerstwo, jak było zwykło, odzywało się z tém, iż jednemu dobrze zbrojnemu łatwo było całą kupę takiej zgrai spędzonej od bydła, rozbić i zniszczyć.

— Dzięki Bogu, że mnie tu Jego ręka opatrzna przyprowadziła — dodał Wszebór — przez miłosierdzie iść potrzeba na odsiecz Horodyszczu, Belinie i zamkniętym z nim władynom, bo inaczéj Masław, lada chwilę najdzie i gródek zdobędzie...

Gdy Wszebór to rzekł, nagle stało się milczenie, wielkie i długie. Patrzali jedni po drugich, pytając się wzajem oczyma, nikt pierwszy odzywać się nie śmiał. Zdumiał się wielce Doliwa, gdyż na ziemi nawet leżący Spytek, choć słyszał o co szło, choć wiedział że na grodzie żona jego z córką się chroniła — ust nie otworzył.

Powtórzył tedy raz jeszcze, że z taką siłą, jaką w obozie widział, śmiało na oblegających, niespodzianie uderzywszy, rozbić ich i pokonać można. Na to też, okrom mruczenia nie było wyraźnej odpowiedzi. Oczy się zwróciły ku starszyźnie, aż Trepka, głową potrząsłszy począł:

— Daj panie Boże ażebyśmy już mogli w pomoc spieszyć oblężonym grodziskom... ale na to nie pora. Droższa nam nad wszystkie grody i nad krew braci naszej nawet, ta cała ziemia i królestwo i wiara święta, którąśmy przyjęli— a oboje to naprzód ratować trzeba.

Wszyscy stojący do koła wtórowali mu cichym szmerem, starzec powoli mówił dalej:

— Gdyby ta dziec Masławowa wiedziała iż nas jeszcze gromada jest, wnet by się ją rozbić i zniszczyć starała. Nas zaś mało jeszcze i do walki stawać nie pora, dopóki wodza nie mamy namaszczonego, by nas prowadził. Pierwsza rzecz potajemnie w siłę się wabić, pana odzyskać, wodza postawić na czele, dopiero o braciach pogiębionych a uciśniętych myśleć będziemy.

Gdy nikt na to nie odpowiadał, bo zdanie starca wszyscy się podzielać zdawali. Wszebór, któremu na sercu leżał los zamkniętych na Horodyszczu, ozwał się:

— Damyż zginać tój krwi naszej, która najdroższa nam jest! Toć to tam kwiat rycerstwa, można rzec, się schronił, a gdyby na pastwę miał

być dan Masławowi, nigdy nieopłakana byłaby szkoda.

— Ziemię i wiarę ratować naprzód powinniśmy — zawołał starzec — o sobie myśląc pójdzie my wszyscy, prędzej później w pęta!

Podniósł ręce do góry.

— Bóg widzi, drodzy nam wszyscy swoi! Powinowaci to są i ze krwi i z wiary i z ducha i z oręża, aliści jeszcze nam droższa ziemia ta i wiara, niż krew własna.

Szmer dał się słyszeć do koła potakujący. Wszebor głowę zwiesił, spojrzął ku Spytkowi, który jedno skrwawione oko podniósłszy, słuchał z usty roztwartemi i sina warga mu się trzęsła. Sądził że on za swojemi przemówi. Spytkowi z oka tylko potoczyła się nie łza czysta, ale krwi krople pociekły, rozchodząc się po bladym policzku.

Milczał stary. Wśród ciszy z piersi głębin do- było się westchnienie ciężkie, zwolna pochylił poranione czoło, i skrył je na posłanie... Ci co nań patrzali, poczuli jak cierpiał i usta się im zamknęły.

— Jak wy postanowicie tak się stanie — ode- zwał się Doliwa — ja to wiem iż z Horodyszcza wyprawiony, nazad tam spieszyć muszę, abym choć dał znać o niebezpieczeństwie i dwoje rąk moich a głowę zaniósł...

Nikt nie odezwał się wstrzymując go. Wtém stojący przy starym Trepce Śreniawa, któremu imię Bolko było, zapytał:

— Ileż tam na gródku ludu jest?

— Tyle ile go się zmieścić może — odparł Doliwa — nocą między leżącemi pokotem przejść niepodobna, na nogę lub rękę nie nastąpiwszy. Gorsza nad to, że żywności im zabraknie wkrótce.

Smutno słuchali tego opowiadania starzy.

— Cóż począć? — rzekł Trepka — niech się obraniają dopóki zmogą; ratunek przyjsć może, gdy nadzieję lepszą o przyszłości poweźmiemy... Gdybyśmy zagrożonemu zamkom w pomoc iść chcieli, wkrótce by i nas nie stało.

Znów tedy przerwała się narada i mowa, a pojedynczy tylko między sobą po cichu rozprawiali; gdy stary Trepka, dodał, namyśliwszy się.

— Rychléjby od nich trzeba wyciągnąć co lepszego jest, niż im co mamy przedniejszego oddawać. Bóg jeden wie, ażali w tym naszym obozie małym, nie cała przyszłość téj ziemi i nasienie na nowe królestwo się nie znajduje.

Gdy to mówił, oczyma powiódł dziwnie po przytomnych i oni popatrzywszy téż dokoła, jakby się porozumiewali, tajemniczo jakoś — umilkli. Pytano potém Wszebora o imiona zamkniętych na gródku, o niewiasty, o sposób życia i zasoby, na co Doliwa, widząc że nie nie zyszeze, ledwie półgębkiem odpowiadał. Tak go ta surowość star-

i mrokach, ginęła nawet nadzieja dnia i życia nadzieja. Zdało się jakby ciemności tych umarłych na wieki, nie nie mogło rozjaśnić, ani téj ciszy przeniknąć.

Sobek przyłożył ucho do wilgotnój ziemi, aby wiedzieć czy zapalenie ognia nie groziło zdradą. Nie słyhać było nic, nawet szelestu gałęzi, bo najmniejszy wietrzyk ich nie poruszał. Noc zamknęła wichry w swym łonie i nie dała im bujać po świcie. Bartnik dobył z wolna dwóch suchych drzewa kawałków, które zawsze z sobą nosił i począł trzeć je, aby ogień naniecić.

VII.

Na Olszowem Horodyszczu wlokło się życie, pod ciągłym postrachem, nieustanną groźbą, żółwim krokiem, ślimaczym chodem, złożone z dni bez końca i nocy bezdennych. Zdawało się wszystkim że teraz świat inaczej się obracał, a dnie i noce były dwoiste, nieprzeżyte i nieprzespane.

Lasy dokoła szumiały jednostajnie jak do snu kołysząc, wiatry świstały jakby szydząc z niedoli i śmiejąc się z jęków. Ludzie leżąc mruczeli, przeklinali, srożąc się na tego co im dawał przytułek, narzekając na głód, odgrażając się pięściami. Z litości srogim być musiał stary Belina, przez miłosierdzie okrutnym. Lud w pierwszym podwórceu tylko grozą utrzymać się dawał. Po nocy szeptali i zmawiali się ludzie. Na straży zapasów i spiżarni nieustannie czuwać musiano.

Gdy się ludzie pospali, ginęły owce, znikały konie, bydło padało, a nazajutrz śladu nie zostawało po nich i w przestraszonych wejrzeniach tylko można się było winowajców domyśleć.

Od wyjazdu Wszebora codzień prawie chodził ktoś na pomostach za ostrokołami i powrotu wyglądał. A w dolinie pusto było straszliwie. Czasem z lasu wychylił się wilk, zawył i uchodził, wymknęła się sarna, popatrzyła i spłoszona własnym trachtem, biegła co tchu w gąszcza się schronić; niekiedy jakby cień człowieka wysunął się z borów, podszedł ku gródkowi, pomierzył go oczyma, zdając urągać zamkniętym i, gdy na okopy wysypała się gromada, pięść jój pokazywał... znikał...

Dzień od dnia mało się różnił, liczono je po smutkach i klęskach, mówiono: Stało się to tego dnia gdy zmarło dziecko, gdy się z rozpaczy obwiesił kto na belce. A było co przypominać, bo niemal co dnia rano, gdy dozorey obchodzili podwórce, znajdowali coś w nich niedobrego; matkę płaczącą nad ciałem niemowlęcia, rodzinę skupioną przy zwłokach starca zmarłego w nocy, ślady jakiegoś gwałtu lub spełnione przez niewiadomego sprawcę zabójstwo. W tej liczbie zrozpaczonej, gdy ją pokryły ciemności, budziły się najdziksze chucie i szaly nią owładały. Ludzie nawykli do czynnego życia, nie mogąc przespać bezczynności, rzucali się bydłeco dogadzając

fantazyi rozpasanej. We dnie z bladych tych twarzy czytać tylko było można zniechęcenie i znużenie, nocą owładywało nimi pół rozmarzone szaleństwo.

Niekiedy korzystając z ciemności znękany człowiek zrywał się z barłogu, wdzierał na jaki pomost u ostrokołu, i na postronku spuszczał na dół z wałów, uciekając w las i wołąc umierać tam z głodu niż tu ginąć z odrętwienia...

Kilku już ludzi tak uciekło, powiększono więc pilność i strażę, gdyż obawiać się było można, aby pochwytani nie naprowadzili czerni i nie wskazali jej którędy najłatwiej na gródek dostać się było.

Z dwóch stron opasywała go wodami swemi i trzęsawiskiem przez które płynęła Olszanka; ztąd, dopóki mróz błot i wody nie ściał przystęp był utrudniony. Z trzeciej i czwartej tylko waly broniły Horodyszcza, na które łatwo wdrzeć się było. Stojący na pomostach wysokich nad ostrokołami lud, ciskał belki, kamienie, lał zapaloną smołę na napastników, ale i tych zapasów ilość się zmniejszała. Po odejściu czerni nazad, część ich ściągnięto do gródka; jednak przewidzieć było można, że ich na dłuższe obleżenie zabraknie i budowle przyjdzie rozbierać. Olszowe Horodyszcze przed dawnemi czasy opasane wałem, wewnątrz miało obszerne szopy i odryny, kleci i stajnie, które pierwsze podwórze od drugiego

dzieliły. Na drugiem w czworościan obudowaniu, znajdował się dworzec pański, komory i składy zapasów, część stajen, które teraz wspólnie ludziom i zwierzętom za schronienie służyły. Wielka izba, w której teraz pokotem leżeli dawni władcy, żupanowie i ziemianie, znajdowała się w zabudowaniu dzielącym dwa podwórza. Drugie całe dookoła obejść było można idąc pod krytym podsieniem, które słupy drewniane podpierały.

Okolo téj wielkiej izby życie się teraz całe skupiało. Pospolity lud w pierwszém podwórzu pod gołem niebem i daszkami się tulił, co było przedniejszego zbierało się na dzień w podsieniach na ławach, lub w wielkiej komorze u komina. Tu ścisł był zawsze i gwar niepomierny, bo się teraz spierano o to co przeszło, rozprawiając jakby się tego wszystkiego zła uniknąć było mogło, które nastąpiło. A że do roboty nikt nie miał, tylko mówić lub słuchać, cały dzień boży schodził na sprzeczkach, które czasem aż do zwady dochodziły. Dopiero gdy już powstawszy brali się zwaśnieni do pięści lub palek, starszyzna ich rozwodziła gromiąc i nakazując milczenie.

Beliny żona, której imię Hanna było, córka jej Zdana, rej wodziły między niewiastami, które wszystkie, krom służebnych, mieściły się w izbie wielkiej na wyżkach, mającej dwie ciemne komory przy sobie.

A i tu ład utrzymać nie było łatwo, bo się i o wrzeciono i o kądziel i o wyraz w piosence i o spojrzenie czasem wadziły starsze niewiasty, a młodsze zajadały potajemnie. Musiała jej miłość pani Hanna, jak mąż na dole powagi swój używać dla uczynienia pokoju, czasem nawet starego Belinę wzywając w pomoc, na widok którego wszystko w karby wchodziło.

Największy ciężar na barkach starego gospodarza spoczywał, a był człek, jakieśmy go widzieli przy pierwszém wystąpieniu, nie skory do słowa, w potrzebie surowy, a w sercu dobry. Dobroć ta jednak nie przechodziła w miękkość, gdyż wiedział że gdyby go ludzie miękkim uczuli, nieładby się wkraść łatwo, a z nim przyjść musiała zguba na wszystkich. On tu był panem życia i śmierci, a choć się radził ludzi i nasłuchiwał ich mowy, nie dawał się powodować nikomu.

Chrześcianin gorliwy i pobożny, stary Belina, co lepsze czasy pamiętał, przybity był terazniejszemi kraju nieszczęściami tak, że gdyby nie wiara w Opatrzność i ojca Gedeona duchowna pociecha, zwątpiłby już o wybawieniu. Z małą nadzieją, ażeby się uratować udało, pełnił swój obowiązek nocy nie dosypiając, czuwając nieustannie, prawie nie zmruczając oka. Wstawał jak świt, na pierwszy znak gotów, bo się nigdy nie rozdziewał, a sen jeśli go zmorzył, to na wpeł siedzącego; obchodził gródek, opatrywał wszystkie

katy, rozsądzał sprawy, pilnował rozdawania żywności, rzadko przysiąść mógł we dnie. Nocą też najmniejszy szelest go budził, a jeśli się w pierwszym podworec w rzawa słyszeć dała, wnet chłopak zapalał lucywo, i z niemi Belina szedł patrzeć co się działo. Nieobeszło się nigdy prawie żeby kogo niespokojnego, buntującego się do jamy i kłody wrzucić nie było trzeba. Mnożyło to niebezpiecznych i niechętnych — ale bez tych się nigdzie nie obchodzi.

Belina wymagał tak samo posłuszeństwa od rycerstwa i ziemian jak od ludu pospolitego i przeciwie się sobie nie dawał; gospodarzem był, panem i wodzem.

Jak przy Hannie córka Zdana, tak przy ojcu syn Tomko stał na pierwszych posługach, rozkazy nosił, porządek robił i na równi z nim czuwać musiał. Młodemu chłopcu służba ta przypadła do smaku, gdyż z nią na wyżki do matki i do niewieścich izb często zaglądał...

Tu stara jejmość w białej namitce na głowie, w fartuchu, musiała się też cały dzień krzątać pilnując czeladzi co jedzenie przysposabiała, chorych, dzieci i domowego zwierza, którego jeszcze trochę zostało.

W wielkiej izbie na wyżkach, jak na dole w dawniej jadalni, skupiało się co żyło, aby razem się zebrawszy, otuchy sobie dodawać. Jak dzień ogień zapalono, warzono co było jeszcze, a wnet

kądziele postawiane na ławach, i wrzecziono każda chwytając, aby czém zająć ręce i myśli.

Z wrzeczionem w rękę, gdy się nie ciągnąć poczęła, skręcać, nawijać, jakoś i myśli szło różniej i sercu było spokojniej. Zdawało się nie jednej że siedziała tam jeszcze u domowego ogniska, w ciszy własnego dworu, za lepszego czasu. Hanna Belinowa na nie się tak nie uskarżała nieboga, jak że ją ciągle od kądzieli odrywano i nie dawano się nacieszyć wrzeczionem. Ze strachem teraz wchodziły niewiasty do komory, w której były złożone złoto i lnu pasemka, aby ich nie zabrakło. Cóżby one naówczas poczęły.

U kądzieli, gdy się mowy przebrało o tém kto zmarł téj nocy, kto się pobił, kogo do jamy wsadzono za karę, kto zachorzał i wyzdrowiał, najprędzej się brała cicha piosenka stara, odwieczna, tęskna, czasem tak na pół pogańska, że się ją śpiewać obawiano, chyba gdy O. Gedeon był daleko. Ksiądz bowiem zakazywał pieśni, wiedząc że w nich stara wiara się chowała, i na jej skrzydłach niewinnych nazad do serc nawróconych wlatywała.

Nucono półgłosem po cichu, ale pieśń rzecz zaraźliwa, więc gdy jedne poczęły ją usta, we wszystkich się piersiach odbiła, i wiele nie wytrzymało aby jej nie zawtórować, choć dla siebie.

Na tę izbę spojrzeć, choć przez drzwi szczelinę, serce się młodzieży radowało... Ogień się

pałił pośrodku, przy którym to strawa, to napój to lek jaki i ziele się gotowało prawie zawsze. Dokoła na ławach, na ziemi podesłanej kozuchami wieńcem siedziały niewiasty; pierwsze z kądzielami w rękę, drugie szyjąc albo dziećmi się zabawiając; a były między nimi i piękne a młode i średniego wieku i podstarzałe i zgrzybiałe; jedne z kosami długimi, drugie w białych namitkach i chustach, inne ręcznikami pozawijane jak się udało... Młodsze byłyby cały dzień prześpiewały jak ptaszęta, bo pieśń była ich mową, starszym się chciało mówić o dawnych czasach.

A że ich słuchać było potrzeba, więc gdy znużone drzémac poczynały, i cisza w izbie nastala, dopiero się która śmielsza zebrała na piosenkę. Zrazu szmerem wylatywały słówka, ledwie dosłyszane, potem coraz głośniej, śmielėj, żywiej, weselėj, a gdy im zawtórowano czasem się zapomniały i starsze... a podśpiewywały... I tak ledwie jedna się skończyła piosnka, druga podobna poczynała.

Z pieśni tych może tylko rosła tęsknota, a z gadania bab często przyszło do tego że sobie i wrzecionami groziły i kądziele z pod siebie wyrwawszy do wojny się z nimi wybierały. Działo się to jednak tylko gdy starėj Hanny nie było, bo ta wnet pokój czyniła, często oburącz za barki wzięwszy zajzapaleńszą i gwałtem ją sadząc na ławie. Było tam wszystkiego bo i na śmiechu nie zby-

wało, choć czas był nie do wesela, ale w długiej trwodze wytrwać na równi trudno.

Tutaj swoje miejsce na ławie poczestne znalazła i Spytkowa, sadząc córkę przy sobie. Do kądzieli wielkiej ochoty nie miała rusinka, utrzymując że od młodu jedwabiem szyła chusty i więcej się niczém nie zajmowała... Kasia za to przędła za dwoje. Marcie rzadko się usta zamykały, córka prawie mówić nie śmiała, ale oczy niebieskie biegały tém żywiéj i widziały wszystko, to nawet czego się drugie nie domyślały.

Już wszystkie przygody Spytkowej znały jej towarzyszki, przecież powtarzaniom końca nie było. Ciekawa niewiasta, gdy jej tu nie dawano ucha, wychodziła czasem na pomost który z wyżek ku podwórcowi był otwarty, tu sparłszy się przy słupie, gdy było kogo na dole stojącego do rozmowy i śmiechu wciągnąć, chętnie to czyniła. A że czarne oczy pani Marty pięknie jeszcze świeciły, znalazł się ktoś zawsze co w nie się zapatrzył, i w szczebiotaniu zasłuchał.

Za to Kasi wyniść nie było nigdzie wolno, a sama téż ona, trwożliwa bardzo, ochoty ku temu nie miała. Obawiała się szczególniej Mszczuja Doliwy, który nie do czynienia nie mając, a w sercu nosząc obrazek dziewczęcia, czatował na nią ciągle. Jeśli ją przypadkiem matka gdzie posłała, pewną była, że zawsze Mszczuj się jej z pokłonem i uśmiechem nastreczy. Rumieniło się dziewczę,

odwróciło oczy, nie odpowiadało na jedno ni na drugie, i uciekało co prędzej.

Od Doliwy tak ujść było łatwo, od Tomka Beliny prawie niepodobna. Któż wie zresztą czy Kasia i od tegoby uciekać chciała? Innemi jakoś oczyma patrzyła nań ukradkiem, a raz czy dwa, choć jój spojrział w same oczy, nie rychło spuściła powieki.

Synowi gospodarza raz wraz też wypadła jakaś potrzeba do pani matki od ojca, lub też do siostry od siebie. On jeden z mężczyzn miał wstęp swobodny na te wyżki zakłete, na które innym dostać się nie było wolno. Korzystał też z tego teraz częściej niż kiedy.

Zdana, siostra, czy tajemnicę braterską odgadła, czy ją powierzoną miała, dopomagała mu serdecznie. Ledwie się Tomek pokazał na progu, wnet Zdana, której szukał stawiała przy Kasi, tak że idąc do siostry, do Spytkownej pójść musiał. I tuż obok wiązała się rozmowa jój z bratem, a choć dziewczę nie uczone było, jakimś instynktem wiedziało co mówić i jak by się słówkami Tomka, i Kasia podzielić mogła.

Pierwszych dni, gdy się to poczynano, Kasia tylko zapłonęła, oczy spuściła na kądziolkę i przezdła a rączęta się jój trzęsły. Potem strach ten pierwszy przechodzić począł, ośmieliły się źrenice spojrzeć ukradkiem, usta na pół uśmiechnąć. Naprzód spoglądała na macierz czy nie podpatruje,

a gdy ta czém inném była zajęta, zerknęła na Tomka. Jemu to mowę przerywało jak uciał, nie prędko wracał do słowa.

Zdana była nad wiek rozumna, choć mało co od Kasi starsza, a była też piękna i rozkwitła pod macierzyńskim oddechem na podziw świeżo i wesoło... Od Kasi była słuszniejszą, smukłą jak brzołka, a ruchy miała sarenki młoděj, a uśmiech kukulki na wiosnę, a trzpiotowatość wróbelka... W ciemnych jój oczach siedział uśmieszek figlarny, nawet gdy się różowe usta gniewać chciały. Było to matki kochanie, ojca pieszczota, domowników cacko lube, a teraz wszystkich gości pociecha.

Starěj Belinowěj, choć się krzątała, prędko ruszać się ciężko było, Zdani za to nie kosztowały skoki i bieganie, i wieczna krętanina, a na miejscu gdy siedziała z kądzielą, prześlńnica z nią skakała, wrzeczono warczało, len się uśmiechał i trząsał brodą.

Takie to było jeszcze młode że samo pewnie nie próbowało nic, nie doświadczyło niczego, ale od czegoż piosenka, która przynosi tęsknotę, serce rozkołysać umie i w szerokie pola myśl goni. Zdanie serce aż biło z radości gdy myślała że bratu do kochania pomoże, a sama się też żywemu przypatrzy kochaniu. Pomagała szczerze... Wkrótce z Kasią jak siostry były, a jeśli szły razem to nie inaczej tylko rękami się opasawszy,

główka przy główce, usta przy uszach... Często w wielkiej izbie wyszeptać się nie mogąc, aby ich nie podsłuchano, wsuwały się razem do ciemnej komory, a jak tam stanęły w kątku i mówić poczęły, śmiać się i ścisnąć, końca temu nie było.

Dopiero się obejrzała Spytkowa, że córki nie było, a była o nią w ciągłym strachu, nuż wołać, gdzie się Kasia podziała... Kasia czerwona bieży z komory do matki, a Zdana z nią, żeby matce łajać jej nie dać. I oto już obie siedzą, kądziółki pobrały, oczy pospuszczały jak trusie, tylko co jedna spojrzy na drugą, to się im usta do śmiechu biorą i Zdana je ręką zatula, a Kasia końcem fartuszka.

Choć i tu się dni dłużyły nieraz, starsze pospały, młodsze popłakały — na górze jeszcze znosnie było... Z dołu jak ku niebu ku tym wyżkom patrzano, radby się każdy był wkraść, ale zakaz był srogi, aby żaden z mężczyzn się nie ważył na górę. Starego Beliny słuchać musiano, bo z nim żartu nie było, a i syna władky nie poszanował. Zdala tylko z podwórza młodzież chodząc czatowała, nuż się która wymknie po wodę, nuż wyjrzy, nuż po pomoście przebieży — aby choć spojrzeć, choć spójwienie otrzymać...

Mszczujowi się nie wiodło. Wychodziła doń Spytkowa, bo tej trzeba było kogoś, coby jej świeżemi słuchał uszami, Kasi się doczekać nie

mógł. Zobaczył ją czasem na mszy, ale tak zasłonioną białym ręcznikiem, że i poznać jej było trudno. Nigdy nie spojrzała nań nawet. Gryził się Doliwa, a naturę mając braterską mówił sobie, jak to w owe czasy wszyscy, — gwałtem porwę dziewczynę, a moją być musi...

Gdzie i jak miał ją porwać, gdy tu dla niego samego i dla wszystkich niebezpieczeństwo wisiało nad głową? — młodzież się nie pyta.

Dojrzał tylko Mszczuj na zgryzotę swą większą, że tam na wyżki Tomko chodził często, siedywał długo i powziął ku niemu nienawiść okrutną. Zazdrość go paliła... Raz nawet nie strzymał, i gdy Spytkowa na dół zeszła dla rozmowy, bo dnia tego była bardzo na Mszczuja łaskawą — szepnął jej do ucha:

— Niechno miłość wasza, dobrze córki strzeże! Dla nas góra zamknięta, a Tomkowi cały dzień otwarta do wieczora. I co pójdzie to siedzi... Rozśmiała się pani Marta.

— Jako żywo, rzekła — Tomko do matki i siostry przychodzi, aniby mi śmiał przystąpić do Kasi, bo, choć syn gospodarza — dałabym mu, dała! ażby popamiętał. Toż dziecko, ani jej co w głowie, ani jeszcze...

A tak tego pewną być musiała Spytkowa, że się ani obejrzała dnia tego, gdy Tomko przybył do Zdany, Zdana się przysunęła do Kasi i rozmowa wszczeła między siostrą a bratem, w któ-

rój Tomko umiał powiedzieć tój, co go niby nie słuchała — że ją kochał nad życie i dałby żywot za nią. Kasia tego nie brała widać do siebie, bo spojrzawszy nań oczyma jasnymi, pottrzymała je nad nim długo, potem furknęło wrzeczono, zakreśliła się nie, wrzeczono na ziemię upadło, Tomko schylił się po nie, gdy je podawał ręce się może ścisnęły, a pani matka nie a nie nie widziała...

Nieraz tak Mszczuj w rozpaczę dzień cały na czatach spędziwszy w podwórzu, szedł do wielkiej izby, kędy siedziała starszyczna i w kąt się zaszywszy, w rękach twarz skrył, a nie nie słysząc, o swoim tylko utrapieniu przemyślał.

Do tój izby czasem zaszedł i stary Belina, na ławie przysiadł i do rozmowy się wniósł — krótkim słowem. Siedział tu całe dnie, nie wychodząc prawie Lasota, któremu się powoli przygajały rany, leżał, mało co się ruszając, młody Toporezyk, było i innych wielu.

Tęsknili tak razem za łowami, domami, za swobodą, a choćby za wojną, byle ich z tych oków i więzów wydobyła, bo tu się wszyscy niewolnikami czuli... Nikt nie wiedział, jak długo ma się pociągnąć ta niewola i na czym skończyć się może, to wszyscy czuli, że gdy przyjdzie ostatnia godzina, posiekać się dadzą i wszyscy padną raczéj niż czerni, lub Masławowi w niewolę oddadzą.

Masław był ich najczęstszym rozhovorów przedmiotem. Mało kto z nich nie znał, nie wi-

dział, starsi pamiętali, gdy go targali za uszy, młodsi, że go z przedsieni wypychali i nieraz potłukli... Nikt na ówczas w chłopaku co się każdemu podlizać umiał i nazajutrz po guzie, rękę co go nabiła całował, nie domyślał się zuchwalca, który kraj miał zawichrzyć i pana wygonić! Rosło to złe ziele jak pokrzywa pod płotem, która gdy się z ziemi wytyka ani jęj widać, nie wiadomo kiedy do góry się bierze, aż i płot sam zakrywa.

Wzdychali starsi, że naówczas przeczucia nie mieli, aby go kto był w kącie przydusił i precz cisnął zawczasu. Słowaby mu wówczas nie rzekł nikt, bo Masław za sobą nikogo nie miał. Potem dopiero, gdy Mieszko zesał, zmysły się mu pomieślały i szaleć począł, a rozumu zabrakło, chytry dworak wziął górę nad panem... I stało się co się stać miało, jeden syn pastuszy, dwu wielkich królów dzieło obalił, dając je czerni trawować nogami.

Do téj izby czasu wolnego schodził i ojciec Gedeon na rozmowę.

Naówczas około świątobliwego starca kręgiem się skupiali wszyscy, bo z sobą pociechę i słowo przynosił, które serca ostygłe zagrzewało... Powiadał im staruszek, jak nie jedno królestwo, nie jeden raz zawichrzoném było i zdało się upadłém a zginioném, aż ci skinął Bóg, natchnął męża lub

pacholę słabe i wybawił je cudem, tak jak cudem runęło...

Naówczas rozjaśniały się powoli lica, i wracała otucha, mówiono sobie, nie może być, ażeby nas Bóg miał opuścić. Ukarze tych co wywrócili kościoły i obalili krzyże, — pocieszy niewinnych.

Z Ojcem Gedeonem zawsze wchodziła nadzieja, nawet gdy najsmutniejsze przeczucia, sny i wieści groziły. — Po odjeździe Wszebora — nie wiadano na Horodyszczu nic co się na świecie działo. Głuche milczenie je otaczało. Tylko z pomostów patrząc coraz częściej się trafiało widzieć ludzi jakichś wychodzących z lasu, którzy się gródkowi przypatrywali. Zjawiali się oni to z jednej strony, to z drugiej w różnych dnia porach, a raz na koniach kilku podjechało tak blisko, że z za ostrokołów do nich strzały puszczono, a jedna w czapce utkwiała temu co najbliżej stał. Ruszyli krzycząc i klnąc i znikli w lesie.

Byli to widocznie na zwiady wysyłani od czerni ludzie, aby się wywiedzieć, czy z gródka nie uszli zamknięci w nim. Pilnowano go więc pewnie do koła, czekano, aby osłabli z głodu, zużyli się siedzeniem, wyjedli zapasy, by ich potem łatwiej zagarnąć było.

Chociaż czuli się tak otoczeni, młodzież wstrzymać było trudno od tego, aby się czasem nie wyrwała do lasu. Belina się zrazu temu przeciwil, potem, zważając, że mięsa dla przeżywienia

się potrzeba, a w lesie go łatwo dostać, zwłaszcza gdy z pierwszych łowów dwa łosie przyciągnięto i sarn kilka — puszczał ochotników na niebezpieczną wyprawę. Każdego dnia, gdy przyszło do wycieczki cisnęli się i prosili wszyscy niemal, oprócz starców i chorych — silniejszych tylko i tych co dobre konie mieli puszczał Belina... A kto sam nie mógł iść, bo liczbie wielkiej oddalać się nie dozwalał — ten stawał przynajmniej na pomostach, aby się przypatrzeć i oczyma za szczęśliwemi pogonić... W te dni było o czém mówić i czém się podwójnie niepokoić. Wróca, nie wróca! co ich tam spotka? Nuż czerń napadnie!

Do późnego wieczora wyglądano, upatrywano, a gdy się orszak z lasu wytknął, dopieroż wołanie — Jada! zwierza wloką! Jada!

Otwierały się jako na przyjęcie zwycięzców powracających wrota, radość na chwilę i ciekawość ożywiała wszystkich, kupili się ku wnijsciu na powitanie... A potem u ogniska w wielkiej izbie, było co do późnej opowiadać nocy, kto lepiej oszczepem cisnął, kto prędzej zabiegł drogę, kto dobił upadłe zwierzę, kto ranione dogonił. Gdy się takich wycieczek kilka powiodło, a w żadnej z nich nie spotkali nikogo, stary Belina też nie był przeciwny łowom, które zasilaly obłożonych. Mięso łosie solono i w beczki zamykano, aby się na późniejszy czas zaopatrzyć. Poszło we

zwyczaj niemal codzienn z kolei, kilku lub kilkunastu młodszych wypuszczać ze psy, aby szczęścia próbowali. Rzadko się trafiło, by wrócili z nie wielką zdobyczą. Lasy były zwierza pełne, a że w dalszych ostępach płoszyły je przechodzące zbrojne kupy, chroniło się to bliżej Horodyszcza, gdzie ciszej było i spokojniej. Jednego dnia Mszczuj też zmęczony próżnemi czaty na piękną Kasię, która się nie pokazywała, zapragnął pójść z innemi. Sprzykrzyło mu się czekać na brata, którego powrotu codzienn się spodziewał, chcąc z nim razem spiknąć się na młodego Belinę, aby go od Spytkownej odsadzić. Wszebor powinien był już przyjść nazad, jeżeli nie zginął. Mówiono o tém co dnia, a Spytkowa za jedno ręczyła tylko, że jój wierny sługa Sobek nie zaginie i z największego potrafi się wysliznąć niebezpieczeństwa.

Ranek tego dnia, gdy Mszczuj się wybierał, mglisty był i chłodny, dla psów co po wilgoci łatwiej zwierza tropiły, dobry, dla myśliwych nie powabny. Wszelako, naparli się ruszyć, bo im miejscowi ludzie dobrą knieję ukazać obiecywali, i zawczasu dziesięciu młodzieży, dobrze zbrojnych, tak, aby się i z ludźmi zmierzyć nie lękali — za wrota się wydobyli. Mszczuj, który po raz pierwszy od zamknięcia na Horodyszczu, dostał się na swobodę, poweselał, gdy z tój ciasnoty dobywszy się, szerokie ujrzał pole i lasy... Dusza mu się

rozradowała, a że i inni z tąż ochotą jechali, żwawo się w puszcę za przewodnikiem posu-
nęli.

Kto nie siedział zamknięty, ten tylko nie wie, z jakim uczuciem odzyskuje człowiek tę ruchu swobodę, która mu do życia jest potrzebną. W pierwszej chwili wszelka pamięć się zaciera tego, co nastąpić może — choćby jutro wróciły zapory — ale dziś telnąć jest czem i głową o ścianę człek się nie rozbija. Mszczuj zanucił piosnkę sam nie wiedząc jak, a gdy własny głos posty-
szał, uląkł się go. Zamilkł.

Zaledwie wjechawszy w puszcę, szczęśliwie trafili na sarn stado, dwie padło, radość była wielka... Z tą lepszą otuchą szli dalej, gdzie im łosie przyobiecowano... W istocie udało się im je ostąpić na łące, lecz czujne stado ruszyło wnet, a drodze stojący Janek Kaniowa, który im zaprzeć chciał drogę, obalony z koniem został i strą-
towany. Mimo to dwa łosie były ranne, za niemi puścili się w pogoń myśliwi, bo zwalniały kroku i krwią broczyły. Ciskano i strzelano, usiłując je dostać. Zwierz silny mimo ran uchodził, zapędzili się za niemi głębiej w puszcę, niż chcieli i było dobrze z południa, gdy jednego z łosiów dosta-
wszy nareszcie, do powrotu się brać zaczęli. Nim za chrapy uwiązano do koni, co za sobą wlec miały, nim się obwołali wszysecy łowce, a Kaniowę zbitego na nosze między konie włożono, zmierz-

chać po trosze zaczęło. Pospieszyć było nie sposób, tak, że przewodnik dopiero ku nocy powrócił na Horodyszcze obiecywał. Już byli na wpół drogi ku niemu, gdy Mszczuj na parę staj i przed sobą ujrzał dwukonnych, a po jednym z koni zdało mu się, iż poznał brata. Serce w nim było pocziwe, choć krew gorąca, żal jaki oba do siebie mieli wnet ustąpił, puścił się za koniem, nawołując Wszebora.

On to w istocie był, wracający z wyprawy swój. Z równą radością oba rzucili się na szyję i ścisnąć zaczęli; drudzy też nadjeżdżający jęli witać przybywającego, zarzucając pytaniami. Wszebor dowiadywał się gorąco, co się na Horodyszczu działo, a cieszył tém, iż ich na łowach spotkał, bo to samo dowodziło, iż Gródek nie był obsadzony... Radując się tak wszyscy, weale już zapomnieli, iż na ostrożności mieć się było potrzeba. Noc nadchodziła ciemna, gdy na skraju lasu stanęli.

Sobek, który przodem i teraz jechał, nagle syknął, nakazując się strzymać... Teraz się dopiero opamiętali i oczy zwrócili na dolinę...

Zostawili ją zrana wyjeżdżając, pustą, teraz w mroku nocy ujrzeli nad rzeczką porozpalane ogniska... Było ich kilka tylko, ale około nich dostrzedz było można ruszające się ludu gromady. Nie mogła to być załoga wypuszczona z Horodyszcza, bo nigdy Belina jój nie dawał ruszać,

zwłaszcza pod noc, nawet gdyby umarłego grzebać przyszło, do rana odkładano.

Nie ulegało wątpliwości, iż czerń co na Horodyszcze czatowała, przyszła je osaczać.

Ci, co przed chwilą wesoło jechali jeszcze, spodziewając się dostać na nocleg do swoich, skamienieli na ten widok, który im zgubę wróżył.

Słowa nikt wyrzec nie śmiał. Oglądano się, co czynić z sobą. Niecierpliwi chcieli zwierza rzuciwszy, sami wnet uchodzić w lasy. Sobek stary jeden głowy nie stracił. Zbliżył się do Wszebora i Mszczuja, zalecając im, ażeby cicho stanawszy pod drzewami powrotu jego czekali.

— Nadzieja nie była stracona, jak mówił — kupa ludzi nie zdawała się zbyt liczną. Sama liczba ognisk dowodziła, iż przybyła gromada na zwiady i na czaty tylko była wysłaną...

Oddawszy konia Sobek znikł w ciemnościach. Czekano. — Nikt od tych złowrogich ognisk oczów nie mógł odwrócić. Roilo się około nich ludem, którego cienie na jasnym tle płomieni i dymów się poruszały. Zdala gwar tylko czasem wiatr ku nim donosił. Na Horodyszczu też widać było ruch około okopów i po za ostrokołami kilka razy się zapalone żagwie przesunęły — czuwano...

— Dziesięciu dobrze zbrojnych i śmiałych ludzi, gdy się po nocy niespodzianie rzuci, choćby na stu takich, zaledwie w palki opatrzonych rozbić ich mogą! mówił Wszebor po cichu.

Mszczuj mu potakiwał, inni głowami potrząsali nie na sto, ale na kilka setek licząc gromadę. Pobity Kaniowa jęcząc z noszów głowę podnosił, aby dojrzeć, co się tam w dali ukazywało. Sobka długo z powrotem nie było. Przywłókł się w końcu zdyszany stary, zwiastując, że ludzi było kilkuset może, a między nimi niektórzy lepiej uzbrojeni dowódcy. Leżało to nad rzeczką tak, iż lasem okrażając dolinę dookoła, z przeciwnej strony cichaczem do wrot się było można dostać, nie ocierając się o nich. Trzeba było tylko jechać w milczeniu, bodaj koniom obwiązawszy nogi, żeby tentent ich nie zdradził.

Za radą Sobka poszli wszyscy... Nie rychło wszakże tą drogą na Horodyszcze dostać się było można; i dwa razy przychodziło krętą Olszanek przebywać w bród, a grzędzie trzęsawisko po kępinach. W milczeniu ruszył pochód ów, ciągle mając na oczach ogniska, którym z różnych stron się mogli przypatrzeć i siłę oblegających mniej więcej obliczyć...

Widać było od kraju lasu, jednych piekących nad ogniem mięso, drugich warzących strawę, dokładających ognia. Czuwali wszyscy obawiając się może, aby ich z gródka nocą wycieczka nie napadła. Na Horodyszczu trzecie już kury piejące słyhać było, gdy mała gromadka stanęła w tém miejscu, z którego doliną już bez osłony ku Horodyszczu puścić się miała.

Wzięto w pośrodek rannego Kaniowę, który opończą się osłoniwszy, na śmierć się w milczeniu gotował, ścisnęli się jeźdźcy, oszczepy i topory nagotowano i wystąpili z lasu.

Sobek i tu przodował pieszo, konia za uźdę wiodąc za sobą, gotów w razie niebezpieczeństwa skoczyć na niego... Gromady stały dosyć daleko, nie zważając bardzo na to, co się w pustej działo dolinie... Niebezpieczeństwo dopiero mogło przyjść, gdy się ku okopom zbliżą, na które ku wnijsciu zamkowemu blask od ognisk padał. Wyszędłszy z cienia na oświecone pole, musieli się puścić szybko ku wrotom, tak, aby je miano czas im otworzyć, nimby owa gromada zerwała się i rzuciła za nimi. Wszystko to było umówionem i dotąd wiodło się szczęśliwie. Doliwom, co zdala na gromady patrzeli serce się ścisnęło, że dla rannego Kaniowy nie mogli wpaść na te kupy, bo się im zdało, iżby im łatwo na karki spadłszy, potłukli.

Sobek też to odradzał.

Jechali w milczeniu ściśnięci, patrząc ku okopom, ażali ich tam zobaczą, aby wrota dla nich trzymali w gotowości do otwarcia. Gdy na światło wjechali, puścili konie klusem ku górze... Sobek, który miał oko na wszystko ujrzał w tej chwili, jak około ognisk zaczęli powstawać ludzie, podnosić się i nagle gwar głuchy zmienił się w krzyk straszliwy. Poruszyło się co żyło. Zda-

żali tymczasem kupką ku wrotom, a Sobek chustą ku ostrokołom znaki dawał... Lecz tuż i gromady się sunęły za nimi, biegly tłumem w nieładzie z podniesionými pałkami. Doganiały bliżej coraz naciskając z wrzaskiem. Doliwowie jadący ostatni do toporów się wzięli, bo tuż, tuż czuć było następujących. Kilka strzał świsnęło w powietrzu; pierwsze konie dobiły się do wrót, ale tych nie otwierano jeszcze. Odwrócił się Mszczuj i Wszebor ku obronie, a zaledwie czas mieli łbami się końskimi zastawić, gdy już siec było potrzeba, bo ich ręce napastników ścięgały z koni...

Chwila to była straszna, nim nareszcie opadły drągi i wrota się otwarły tak, aby pierwsi za nie skryć się mogli. Doliwowie toporami cięli bezprzytomni cofając się ku bramie. Mszczuj miał oszczepem rękę zranioną, Wszebor strzałę w twarz, gdy z wrzawy i tłoku znaleźli się bezpieczni za wrotami, gdzie oba z koni spadli. Wnet zatrzęsnięto je znowu i na kupę napastników posypały się pociski z za ostrokołu, z pomostu puszczono kłodę, która stoczyła się na karki, obaliła najbliższych, zgmiotła kilku, a resztę do ustąpienia zmusiła...

Gdy oba ranni podnieśli się z ziemi okrwawieni, ujrzeni nad sobą starego Belinę, który stał blady i milezący. Po za nim cisnęła się niemal cała ludność Horodyszeza, okrzykując cudownie ocamlonych.

Zdziwili się wszyscy ujrawszy tu Wszebora, który z policzka dobywał uwięzłą strzałę, a krwawą dłoń podawał do uścisku.

Tymczasem na pomostach i okopach, gdzie młody Belina ludźmi zebranymi dowodził, trwała wrzawa, rzucano kamienie, i kupa, co się była nacisnęła ku wrotom, wnet ustępować zaczęła. Szli myśliwi do izby na dole, gdzie im rany trzeba było obmyć i obwiązać...

Popłoszone niewiasty z drugiego podwórza pozbiegały patrzeć choć zdala co się dzieje, wyszła też i Spytkowa, która Wszebora witała właśnie, gdy Sobek jój do nóg przypadł.

— Miłościwa pani! zawołał składając ręce — radujcie się, miłościwa pani, niosę wam nowinę dobrą i pozdrowienie. Nasz pan miłościwy żyje! Słyszając to krzyknęła Marta, rzuciła się i padła zemdlona, ale niewiasty ją wnet ocuciły. Była li to radość wielka czy inne uczucie, trudno odgadnąć, to pewna, że się jój lzy puściły obfite i że całą noc, rozpytawszy wprzód Sobka, jęczała i płakała...

Nikt też tej nocy, oprócz dzieci nie zasnął na Horodyszczu, czuwano na wałach, w izbie na podwórcach, palono ognie i czekano dnia, ażeby gromadzie, która na dolinie obozowała, lepiej się przypatrzeć a obliczyć ją. Wszebor choć ranny i obwiązany, był tej myśli, aby jeżeli się napaśtnicy nie zbyt licznymi okażą, wypaść na nich

z okopów nagle i szczęścia w otwartém polu probować.

Belina nie mówił na to nic, lecz się namarzczył tylko, a głową potrząsł znacząco.

Przedewszystkiem musiał opowiadać Doliwa, co w drodze sprawił, widział i z czém powracał.

Było tu dla wszystkich nowin poddostatkiem, jakie komu mogły przypaść do smaku. Potęga Masława dla jednych, nadzieje starego Trepki dla drugich. Umysły się rozgrzały, duch nowy wstąpił. Masław, którego siłę obliczał groźną Wszebor, nie wydawał się strasznym. Ochotniej wierzyli w powrot Kazimirza i pomoc niemiecką, niż w pogan przewagę.

Z Beliny jednego poznać było trudno, co o obojgu trzymał, twarz starca ani większej radości, ani trwogi nie zdradzała. Słuchał pilnie, ważył — i mileżał.

Wszebor, jakeśmy widzieli mniej miał ufności w posiłkach Kazimirzowi obiecanych, a więcéj się lękał ściągniętych przez Masława tłumów, to i z jego mowy czuć było. Na jednych ona podziała strach budząc, drugich oburzyła tylko. Nadzieja powrotu Kazimirza i powrotu lepszych czasów, brała górę mimo Wszebora, oblężeni chcieli się trzymać do ostatka, choćby o wodzie i polewce, odejmując od ust sobie, by dłużej wytrwać mogli. Wśród gwaru zdań sprzecznych, zwracali się ku stojącemu zawsze w milczeniu starcowi, jakby

zdania jego pytali. Gdy ucichło nieco, Belina głowę podniósł.

— Opatrzeć wrota! stróże na miejsca. Czujność na wałach!

I więcej nie rzekłszy, powoli się oddalił.

VIII.

Nazajutrz na grodzisku od świtu ruch był ogromny; wszystko się wysypało ku ostrokołom, aby się gromadom, które nadciągnęły, przypatrywać. Bojaźliwe nawet niewiasty z dachów i wietrzników wyglądały.

Gdy dobrze rozedniało, postrzeżono w dolinie obozowisko wczorajsze, rozpierzchłe, nie zdające się przygotowywać jeszcze do napaści. Jedni przy ogniach gotowali strawę, drudzy około koni chodzili, inni zdali się odpoczywać — kilku tylko na koniach objeżdżali do koła horodyszcze, przyglądali mu się ze wszech stron, próbowali brodu na rzeczce i trzęsawicy na moczarach. Z téj strony bowiem, z którój horodyszcze wodą i niemi było okolone, okopy były niższe, zaniedbane, ostrokoły

gorsze, a w niektórych miejscach, gdzie poopa-
dały, pozatykano dziury płotami staremi i darnem.

Belina, który się rozglądał ciągle, dostrzegł
łatwo, że na tę stronę rachować musiano, zwa-
szcza gdyby mrozy, których lada dzień się można
było spodziewać, nadeszły.

Sam on teraz dopiero widział, iż gródek od
rzeczki łatwiejszym był do zdobycia, i, nie tracąc
czasu, wnet ludzi zpędzić kazał, aby okopy po-
prawić, a ostrokoły umocnić. Drzewa na nie ina-
czej dostać nie było można, jak rozbierając szopy,
pod którymi się ludzie w słotny czas tulili — a nie
było co rozmyślać i część schronienia tego musiano
poświęcić.

Wzięto się wnet do roboty...

Popłoch, jaki przybycie gromad sprawiło
na zamku, odbijał się w całym życia jego trybie.
Na mszę świętą ojca Gedeona, zeszedli się wszyscy,
a niewiasty słuchając jój, płakały i zawodziły.
Ranni i bezsilni, co pod dachem musieli pozostać,
rozprawiali bez miary. Tym co nie robili nic, to
co robiono, wydawało się niedostatecznym i nie-
dobrém. Wszebor, co w lepszego nie wierzył,
pomimo to miał ochotę do wycieczki.

— Nie mamy nic do stracenia, mówił — tak
czy inak ginąć nam potrzeba, przynajmniej się
człek krwi paskudnej napije i gniew spędzi na
karkach tej dziczy...

Wszedł na to ciągle się krzątający i obchodzący wszystkie kąty Belina, sprawa się wytoczyła do niego, wąsa pokręcił.

— Ani się ważcie! — rzekł. — Tu nikt bezemnie kroku nie stąpi, a ja mówię wam — nie pozwalam.

— Dla czego? — spytał Wszebor.

Belina głowę podniósł.

— Dlaczego? — powtórzył — a no się o to pytać mnie nikt tu prawa nie ma. Jam tu pan i wódz. Powiem wam jednak dla czego. Dla tego że ja w wybawienie wierzę i będę się trzymał do ostatka, a bezpotrzebnie kropli krwi wylać nie dam.

To rzekłszy, Belina się obejrzał tylko i poszedł wolnym krokiem nie czekając odpowiedzi.

Wszebor się namarszczył, a słuchać musiał. — I on i brat od dnia wczorajszego chodzili chmurni na Belinów wszystkich. — Przyczyną tego było, że im Tomko dziewczę bałamucił. Choć śmierć, głód, nędza była za pasem, na kochanie jeszcze czasu stało. Gorzej, bo im ta miłość nie w porę, do tego co na tę porę czynić było trzeba, ochotę odbierała. — Dziewczę im więcej było w sercu i głowie, niż przyszłe horodyszcza losy. Posważyli się byli o nie między sobą, a teraz oba jój dostać nie mogąc, pojednali się, byle jój trzeciemu nie dać.

Bałamuctwo to było młodzieńcze, a no w tym wieku dzieje się tak, że gdy się zawróci w głowie, na nie się nie pamięta.

Do Tomka Beliny żaden z nich gadać nie chciał, zobaczywszy go zdala, odwracali się, choćby do ściany, aby go nie widzieć i w oczymu nie patrzeć.

Wszebor szczególnie, którego i Spytkowa przyjęła nie po dawnemu, chodził zły, a wszystko mu się na horodyszczu wydawało nie do rzeczy, i złe a nieopatrne. Miał on tego ducha w sobie, że i przeciwie się drugim lubił i samby był rad rej wodził. Z Beliną starym, ni jedno ni drugie nie szło. Krótkiemi słowem odprawiał, nie dopuszczając sprzeczki, a nad sobą przewodzić nikomu nie dał. I Mszczuj, który podobną miał naturę do brata, już to był wypróbował.

Teraz oba pokwaszeni zbliżyli się ku sobie, aby razem narzekać. Po wyjściu starego z izby, został w niej tylko u komina Lasota, w kącie Toporezyk, na ziemi potłuczony Kaniowa i kilku innych niedobitków... Czas jakiś panowało milczenie, Wszebor chodząc, mruczał tylko coś sam do siebie gadając. Drudzy go oczyma mierzyli.

Wreszcie tyle się w nim uzbierało przekory i niesmaku, że coraz głośniej, wpół do siebie, wpół do drugich, u ogniska stanąwszy, mówić zaczął.

— To się wszystko na nic nie zdało! — mówił. Na Masława tu czekać, jedno eo na śmierć. — Przyjdzie on z taką gromadą, że nam wały jak mrowie okryje i bronić się nie starczy czém. Jeść

codzieli jest mniej, wkońcu nas głód zmoże. Człek po poléwce siły nie ma...

Słyszając to niektórzy, ku niemu pozwracali głowy.

— A cóż czynić?— spytał Lasota — kiedyś taki mądry? co lepszego.

— Niewiasty i chorych w środek zabrać, zbrojnym się ludem otoczyć — i przebojem uchodzić w lasy — zawołał Wszebor. Trafiemy na Trepkę, albo na innych, złączym się z nimi, a choćby ginąć przyszło — toć razem!!

— A ludziska te co się schronili tak jak bez broni — cóż z nimi? — spytał Toporezyk.

— Im czerń nie robi nic, ich i horodyszcze można porzucić, żałować nie ma czego, — mrucał Wszebor. — Co my dla nich ginąć mamy? Tym się nic nie stanie!

Nie odpowiedziano Wszeborowi.

— Kto wie co lepsze? — mruknał Kaniowa.

— Belina stary uparty, mówić z nim o tém nawet nie można — dodał Lasota.

— W łasce Bożej ufa — rzekł Toporezyk. — Słyszeliście co O. Gedeon codzieli powtarza.

— Dobra łaska Boża, a no człek się i sam ratować powinien — dodał Wszebor. — Belinie swojego dostatku i ojcowizny żal, dla tego nas tu gotów wszystkich zamorzyć, by przy swych śmieciach pozostał

Syknał stary Lasota.

— Nie mów tego...

— Co nie mam mówić gdy myślę! — odrzekł Wszebor.

Zamilkli inni, gdy z kąta jakiś drab wychudły do Doliwy przystąpił.

— Hm! — rzekł — albo to my jego niewolnicy, czy co, byśmy koniecznie słuchali? Mamyć rozum swój i wolę swą, zbierzmy się do kupy i idźmy w las, kto nam zabroni? Ci co chcą tutaj gnić — wola ich. —

Wszebor tak pochwycony za słowo, zmięszał się nieco. Widział po twarzach innych, że z nim trzymać nie chcieli, dał temu co tak wystąpił jawnie, znak, by zamilkł.

Stary ów, chudy, obwinięty oponczą na gołe ciało ziemianin, zamruczawszy znów, w kąć poszedł. Mszczuj brata za rękę pociągnął.

— Chodźmy ztąd. I poszli na wały we dwu się naradzać.

Tym co pozostali, oprócz siedzącego w kącie, wystąpienie Wszebora się nie podobało, milczeli długo. Lasota się marszczył i wzdychał.

— Jak się weźmie waśń o to co czynić, — przebaknął w końcu — a na dwoje się tu rozdzielmy — pewna zguba.

— E! — rzekł Toporezyk z kąta. — Ja Doliwów obu znam, na przekorę zawsze gotowi, aleu nchi w gębie wszystko, wygadają się, wyswarzą — przyjdzie do roboty, pójdą z drugimi.

— Dajże Boże — zakończył Lasota — ja ich też z dzicci znam, warchołowate plemie, choć serca poczciwe...

Doliwowie wyszedłszy we dwu, poczęli wnet narzekać, a jeden drugiemu oleju do ognia dolewać. Wszebor na Beliny starość i niedoleżtwo walił wszystko, Mszczuj mu pomagał.

— Oni nas tu wszech zgubią! — wołał.

— Doczekawszy Masława na horodyszczu, tylko się spowiadać na śmierć, więcej nic — mówił Wszebor. — Nie obroniemy się im. Zabraknie wszystkiego.

— Kiedy tak — dodał Mszczuj — zbierajmy tych co z nami równo myślą i, choćby bramę łamać przyszło, idźmy ztąd precz...

— Zbierzemyż my ich dużo? — spytał Wszebor.

Mszczuj o tém nie wątpił. — Naradzać się poczęli w cichości, pochyliwszy jeden drugiemu do uszu. — Wszebor tylko żałował, że się wygadał zawczasu a nieostrożnie, aby Lasota z drugiemu nie donieśli Belinom i nie miano ich na oku. Mszczuj, który gorętszy jeszcze był od brata, lekce to sobie ważył.

— Trzeba swoje robić po cichu — musi się udać. — Ale — dodał głos zniżając — cóż my Spytkową tu im z córką mamy zostawić? he!

— Niedoczekanie — zawołał Wszebor.

— A jak z nami nie zechce?

Spojrzeli sobie w oczy i poszeptali po cichu.

— Czemu nie można?— głośnej rzekł Mszczuj.
— Usta choćby zawiązać przyszło i na rękę je wyciągnąć, toć to dla ich ocalenia.

— Porwiemy! no dobrze, byleśmy moc mieli, odparł Wszebor — a potem co?

Z tej wielkiej zgody przed chwilą, nagle w oczach ogień zapłonął. Wahał się jeden i drugi powiedzieć co myśli, ani ten ni ów ustąpić nie chciał. Zrozumiawszy to, bo się znali dobrze — umilkli...

Wszystko się o dziewczynę rozbiło, dalej nie szło. Jeden się za ostrokół zapatrzył, drugi w podwórze i stali tak, nie mówiąc już do siebie. Wszystkie ich gorące myśli ochłódły. — Nierychło dopiero Wszebor rzekł.

— Swoje robić trzeba — a co potem — to nasza sprawa, rozsądzim się między sobą.

Mszczuj nie rzekł, ramieniem tylko ruszywszy.

— Każdy w swą stronę — zakończył Wszebor — trzeba z ludźmi gadać i do rozumu ich przyprowadzić.

Poszli tedy jeden w lewo, drugi w prawo poza ostrokołami, gdzie ziemian ciągle stało mnóstwo, gromadkami, przypatrując się obozowisku. Wszebor do jednych się przyłączył, Mszczuj do drugich.

Belinowie tymczasem we dwu, przybrawszy sobie do pomocy kilku zaufanych, nad ludem stali, co przy okopach od rzeczki pracował. Tu — ziemię noszono, koły wbijano, a nieopodal szopę walono, aby z niej drzewo obrobić na pale. Nie

szło to rażno, ludzie byli i leżeniem i złą strawą i długim rozleniwieniem, osłabli... Dano tego dnia po kawalku mięsa, po kubku kwaśnego piwa, i to nie pomogło wiele.

W dolinie do południa jak stali ci co przyciągnęli, tak się nie ruszyli. Miano ich na oku. Najadłszy się i napiwszy dopiero, kilku się ich na koniach ku wrotom poczęło przysuwać. Dano znać Belinie, który co najlepszych z łukami postawił u wrót i kazał, gdy na strzał przyjdą, — puścić na nich strzały. Lecz że widzieli gotowość po okopach, stanęli w takiej odległości, iż ich dosięż nie było można. A że cisza była wielka, bo i wiatru najmniejszego, słowa zdaleka dolatywały.

Pijana gromada krzyczała ku grodzisku, — potrząsając powrozami, które u pasów miała.

— Gotujcie ręce na pęta.... Niedługo was wykurzym z tej jamy!

A tu z wałów nawzajem jak huknęli:

— Psie syny! pogany! zboje...Niedoczekanie wasze! Wszyscy tu padniccie!!

Z jednej i z drugiej strony pięści powystawiano, i co kto miał na sercu i w gębie wyplunął.

Na kilka pacierzy trwało to nawoływanie z jednej i drugiej strony, aż w sobie żółć poruszyli, tak, że owa dziec poczęła się rwać ku wrotom, zapomniawszy niebezpieczeństwa, a ci co za ostrokołami stali, na wpół się przez nie powychylali. Z tyłu kilku łuki napięło i strzały świsnęły od

horodyszcza.... Jedna z nich oko napastnikowi wybiła! chwycił się za nie i z konia ztoczył. — Drudzy dopiero opamiętawszy się, porwali go i przeklinając a łajac, do swego obozu wrócili.

Tak zszedł prawie cały dzień w nieustannym ruchu i zajęciu, a na Doliwów chodzących tu i owdzie, nie wiele zważano. — Wszeborowi się chciało dostać koniecznie do Spytkowej, albo ją ku sobie wyprosić, ale Sobek powiadał, że cały niemal dzień przeleżała płacząc, i nie mogąc się utulić, tak ją wiadomość o mężu poruszyła.

Ku wieczorowi przecie się to jakoś uśmierzyło, bo choć z oczyma zapłakanemi, ujrzano wychodzącą na wyżki, panią Martę, a Wszebor jak tylko to dojrzał, zaraz ku niej pospieszył. Chociaż zakaz był dla mężczyzn, iż się do niewiast na pomost dobywać nie było im wolno, nie zważał na to Doliwa.

Pani mu była dosyć rada, że tak żwawo się do niej garnał, choć to już teraz na nie przydać się nie mogło. Wszeborowi szło o to, aby ją tu pobuntować i do dobrowolnego ujęcia z horodyszcza namówić, bo już się téj myśli zbyć nie mógł. — Przystąpił więc, dowiadując się naprzód o nią i o córkę, a wnet nad nieszczęśliwym stanem horodyszcza poczynając rozwodzić żale.

— My tu nie dobrego nie wysiedzim — odezwał się półgłosem. — Jam ci przecie nie darmo jeździł i zdrowie narażał, na swem oczy widział,

jaką ma potęgę Masław. Jak on tu przyjdzie, do nogi nas wybije...

Spytkowa aż krzyknęła.

— Niemaż na to ratunku...

— Byłby, gdyby ludzie rozum mieć chcieli tylko—odezwał się Wszebor— a toć nam się wybić ztąd łatwo, i ze swemi gdzieś połączyć. Nie wszyscy wyginęli. Lepiej w polu się bronić kupce, niż tu tysiącom w tej dziurze... A no Belina stary uparty...

Na Belinów nie Spytkowa złego słuchać nie była rada. Spojrzała ostro; obawiała się ich, choć nie lubiła.

— Nie mówcie na niego nic — on musi wiedzieć, co czyni!

— A mnie się zda, że już nie wie — odparł Wszebor... Jemu o swoje mienie chodzi, którego dosyć jest, a teby nie rad rzucił.

Głową potrząsała Marta — nie mówiąc nic.

— Mnie waszój miłości i córki wielce żal — dodał Doliwa — abyście się przez ten upór na ręce chłopskie nie dostały.

Aż krzyknęła zasłaniając sobie oczy Spytkowa.

— Bóg tego nie dopuści! — zawołała płacząc.

A po chwili rzekła cicho.

— Cóż począć? co począć! Żadnejże nie ma rady?

— Jest ino ta jedna, aby ztąd przebojem uchodzić, póki czas..

— Dokąd?

— Swoich znajdziemy gdzieś, tak jakeśmy teraz ich znaleźli — mówił Doliwa — albo to obozowisko, gdzie waszój miłości mąż się znajduje, lub inne. Nie wszystko wyginęło rycerstwo...

— Toć i na nie Maslaw następuje, a nie da mu spoczynku...?

— Ale uchodzić od niego szerokie mamy pole, choćby na Ruś, choć do Niemiec,... wszędzie bezpieczniej niż tutaj...

Wszebor pochyliwszy się, począł wystraszonój niewieście w ucho kłaść, iż on z drugimi, kto wie, może się ważyć będzie, choćby porzuciwszy upartych, ujsć z tego zamknięcia. — Jedźcie wasza miłość z nami!

Ułękła się tych wyrazów Spytkowa tak, że się schronić chciała, aby więcej nie słyszeć, — Wszebor ją zatrzymał gwałtem, zaklinając, aby jeżeli sama nie zechce z niemi, przynajmniej ich nie wydawała Belinom.

Musiła mu tedy na krzyżyku poprzysiądz, iż milczeć będzie, a namyśli się sama co ma czynić. Tak zaś była poruszona, że już więcej mówić i słuchać nie mogąc, wnet się do izby zabrała, rozmyślać nad tém co jój Wszebor powierzył. —

Po twarzy Spytkowej, gdy wchodziła, poznać mogły niewiasty, które tam siedziały, jak zwykle u ognia i kądzieli, że coś ciężkiego na sercu niosła, tak miała zafrasowane oblicze i zadumane

oczy... Nie słyszała pytań, nie widziała dawanych jej znaków, poszła na swe miejsce i padła na nie, córki nawet, co przeciw niej wybiegła, nie poznawszy. Nie rychło warczenie wrzecion, śmieszki i mrużenia, wywiodły ją z tej zadumy — Kasia jej wody przyniosła, lży otarła i nieco się uspokoiła. —

W niewieściej izbie dnia tego także niepokój panował. Jedna to druga z kobiet wyrwała się na poddasze, chcąc coś zobaczyć i przynosiła po tem jakieś wieści. Straszły się wzajem i pocieszały.

Stara Hanna chodziła powoli jak zwykle, na mnogie pytania odpowiadając tylko.

— Tyle już oni razy tu przychodzili, a z niczem odejść musieli. Będzie i tym razem toż samo...

Z drugiej strony te co od mężów i braci zasłyszały, jak Wszebor opowiadał o Masławie, trwożyły się i popłakiwały: — inne o Kaźmirzu i prędkim wybawieniu marzyły. Niepokój ani prząść dobrze, ani odpocząć nie dawał.

Ile razy Tomko wszedł, padały nań wszystkich wejrzenia, badając go, a na jego, jak na ojca twarzy, nie poznać nie było można, obie spokojne i poważne równie były, czy przychodziło niebezpieczeństwo, czy otucha. Tylko ilekroć się mógł Tomko ze Zdaną zbliżyć do Kasi, wyjaśniały mu się oczy, śmiały usta i zdawał mieć najlepszą nadzieję.

Kasia po powrocie matki przelęktłej, napróżno starała się ją wybadać, nie powiedziała córce nic, popłakiwała cicho i wzdychała.... Gdy Tomko się potem zjawił, tak córce na sercu leżała ta boleść macierzy, że się po cichu Beliny przez Zdanę spytała, czy co nowego nie zaszło, o czémby się jój matka mogła dowiedzieć.

Belina się namyślił i odpowiedział Zdanie, tak że Kasia słyszeć to mogła, boć się jój przytém wciąż w oczy patrzył — że Spytkowa długo na pomoście z Wszeborem mówiła, pewnie ten jój jakiego napędził strachu. Przy czém Tomko dodał:

— Obydwa Doliwowie duchy niespokojne, im by się chciało, aby ich jeno słuchano, a dwóch wodzów w jednym grodzie nie może być. Na nich się też oko i ucho będzie miało, jak należy.

Tomko niedługo tu zabawiwszy, bo od dołu już na niego hukano i wołano, aby do ojca przybywał, w oczy jeszcze spojrzawszy Kasi, która mu rumieńcem odpowiedziała — odszedł.

Bartnik Sobek, choć wczorajszą drogą zbity, choć na spytkach przed swą panią długo stać musiał — ledwie jaką godzinę wyleżawszy koło koni na słomie, bo innego miejsca nie miał i nie chciał, wstał zaraz, nie mogąc w bezczynności wytrzymać. — Człek był już tak z natury swój ruchawy i ciekawy, któremu, gdy nie nie czynił, ręce świerzbiały. Innego czasu, albo chodaki plótt, albo koszyki, lub wici kręcił i sznury, a gdy i tego

nie było, łączywo drobne szczépał. A gdy ręce pracowały, okiem téż i uszami na wszystkie strony czuwał. Nie uszedł mu szmer żaden, nie prześlizgnęło się, czegoby nie zobaczył. — I nie darmo tak czuwał, bo zawsze i ze szmeru i z cienia coś umiał wyciągnąć — tego dnia téż powlókł się Sobek naprzód z drugimi pod ostrokół na wały, a choć drudzy tu od rana do nocy przebyli, zapatrzywszy się na gromadę, on długo nie wytrwał. Obrócił się do robotników na drugą stronę i tu znowu: przystanać dłużej nie było wygodnie, bo się ludzie ruszali i mijali, a w ciasnocie potracali i jeden drugiemu zawadzał.

Obszedłszy grodzisko, Sobek powrócił do szopy koni. — Ściana tylko z płotu przegradzała go od téj kleci, pod którą się tuliło zbiegowisko prostego ludu w pierwszém podwórzu. — Choć ztąd dużo wypędzono na robotę przy wałach, zostali starsi, żony i dzieci.

Szmer i płacz i stękania słychać było. Sobek sparłszy się o ścianę, pół drzemał, pół myślał, jakaby rękóm dać robotę. Nie było się do czego wziąć... Gdy tak dumał, głosy z za chróścianej ściany poczęły go dochodzić, których, choć słuchać by był nie chciał, to musiał. — Narzekania to były.

— Oni o sobie myślą — mówił głos stary — co im tam, gdy z nas który zdechnie, aby sami byli cali..

— Z głodu mrzemy — rzekł drugi.

— Jeszcze do roboty pędzą, choć jeść nie dają, wtrącił głos kobiecy.

— Dobrze tym, co pomarli! — mówił inny — ot poszli do swoich i biedy nie zaznają...

— To się dopiero teraz zacznie, jak nas ze wsząd osaczą — rzekł stary głos. — Oni będą z łuków strzelali, a my musim ciężkie belki dźwigać i kamienie; a kogo strzała popadnie, jeśli nie nas! Oni mają zbroje i kaftany i tarcze, a my co? Sukmanę strzała przebije.

— Pewnie, pewnie — żywić zaczął inny — a no, niech nadejdzie więcej, trzeba sobie rady dawać... Nie myślą o nas, pomyślemy o sobie. Co nam zrobią, gorszego ot tamci? Taż to nasi... Jak się z nimi zważamy, niech ziemianie idą w pęta... my choć na pogorzeliska wróciemy.

— A jakże z nimi się dogadać? — odparł stary — abo to łatwo? Myślisz, oni na nas oka nie mają, albo nam wierzą? Wiedzą oni, co u nas pod skórą.

— Dogadać się — podchwycił pierwszy — albo to sposobu nie ma?

— A jakiż? jaki?

— Nocką się spuścić z wałów łatwo — rzekł śmiejąc się zapytany.

Była chwila milczenia długa i szeptu.

— Tak i zrobić — rzekł stary — a nie, to wyzdychamy wszyscy...

— Pogadajcie z Rzepcem, pogadajcie z Wiechanem.

— Czemu nie.

— Trzeba myśleć o sobie...

Szeptano tak, że Sobek szmer tylko słyszał, potem zle śmiechy tłumione, prędkie i żywe mrużenie. Ale tego co pochwycił, dosyć mu było.

Ostrożnie wstał ze słomy, aby nie posłyszano go, chwilę postął, zawrócił z szopy na pierwsze podwórze, chcąc na oczy widzieć tych, co się tak naradzali. Gdy okrążywszy budowlę, przed wrota przybył, gdzie się ci ludzie na rozmowę zbrali, nie znalazł już nikogo, tylko dwie kobiety, z których młodsza dziecię karmiła, a stara pokryta płachtą ogromną, drzemiała przy niej.— Reszta czy spłoszona czém, czy z innéj jakiej przyczyny się rozeszła... Imiona tylko Rzepca i Wiechana mógł Sobek zapamiętać.

Przypadek mu dozwolił wpaść na trop niebezpieczeństwa, którego się nikt nie domyślał może. Starego dreszcze przebiegły. Co miał czynić nie wiedział sam. Sledzić dalej, czy dać znać komu było potrzeba? — A nuż gadanie próżnémby się okazało, a popłoch daremny? Sobek co życie spędził przy dworze ze swójemi panami i przywiązanym był do nich i jej sprawy, strwożył się i zasepił.

Wysunął się już o mroku z szopy i z podwórca i poszedł ku drugiemu obejściu, czatować

na starego Belinę. Zobaczył go zdala wydającego spokojnie rozkazy, popatrzał nań, żal mu się zrobiło straszyć go lada paplaniną.

Cofnął się więc, rachując, że mu jego siermięga i stan dozwolą podsłuchać więcej i lepiej, nimby miał rzucić trwogę. Żal mu też było może ludzi, na którychby spadła groza i kara, gdy w istocie głód przez nich mógł mówić tylko i zękanie. —

Stał jeszcze Sobek rozglądając się po podworcach obu, na których wśród mroku świeciły porozpalane łuczywa, gdy z za domostwa krzyk i wrzawa ogromna słyszeć się dały...

Ludzie biegli w tamtą stronę...

— Strzelaj! bij — wołano.

Belina stary rzucił się także, pospieszył Sobek, wrzawa rosła coraz i krzyki.

Nikt nie wiedział co się stało... Dopiero zbliżywszy się ku wałom, dopytał stary, że o mroku ktoś z załogi spuścił się z ostrokołów i ku gromadzie oblegających uszedł, choć strzał kilka za nim puszczoneo.

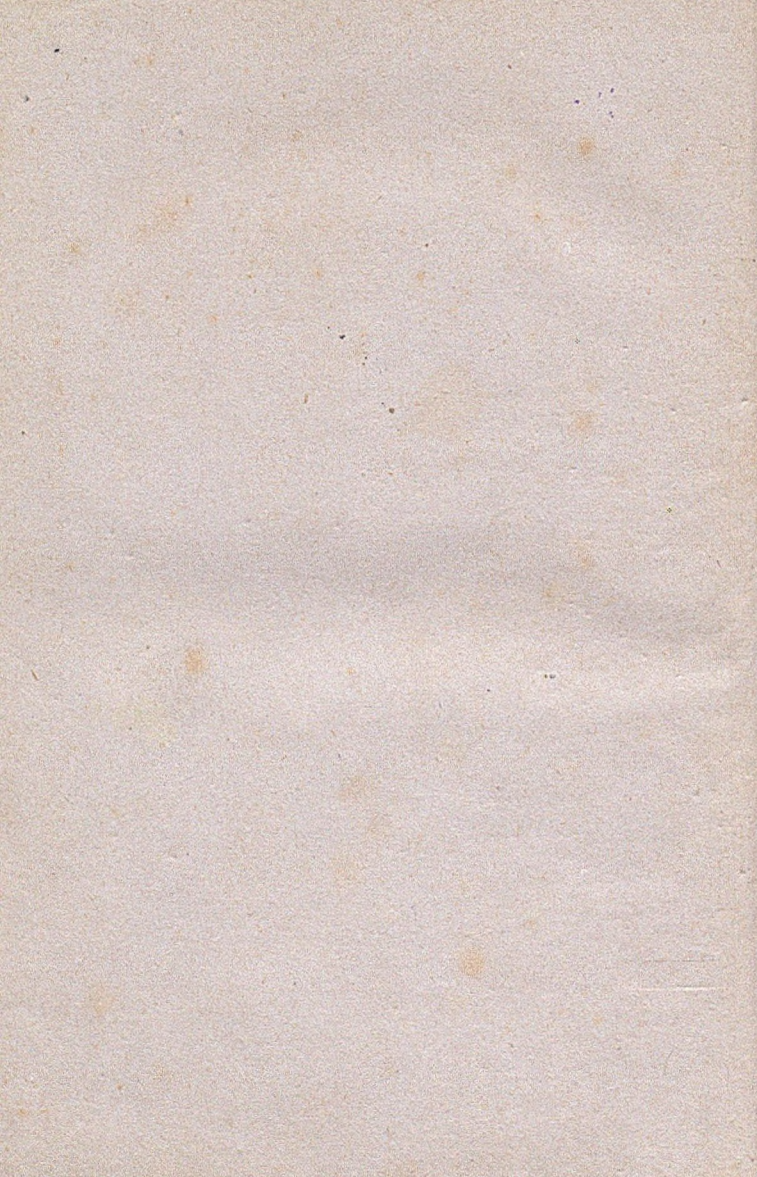
KONIEC I. TOMU

BIBLIOTEKA
Państwowego Instytutu Pedagogicznego
w GLIWICACH

Nr. _____







1997-01-24

06.07.1999

2009-09-03

2012-09-11

2012-09-11

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

21418